Nr. 260. Lwów — Wtorek dnia 13 Listopada. Rok 1894.

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po południu.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . 4 ct.
na prowincyi. . . . . 5 „

Numera z poprzednich miesięcy po 10 ct.

„Przegląd“ jest do nabycia we Lwowie w obu Biurach sprzedaży dzienników i we wszystkich większych trafikach.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Cena prenum. na prowincyi: Miesięczna złr. 1·10 | Półroczna ... Kwartalna „ 3· | Roczna „ 12
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Prenumeratę należy przesyłać przekazami. Do przesyłanej w kopertach pieniężnych należy dodawać 5 ct.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo drukiem petitowym po . . . 1 „
zaś tłustym garmondem po . . . 2 „
Korrespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . . 20 „
Nekrologia . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: św. Eugeniusza | 1 Noj. Kos. i D. — Jutro: św. Serafina W. | Akindyna M. | Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski. | Wschód słońca g. 7 m. 12, Zachód „ 4 „ 17 | Długość dnia g. 9 m. 5, Ubyło dnia od wczoraj 3 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 11 listopada.

Piszą nam z Petersburga:

Już zaraz po czwartej podawano sobie z ust do ust, ale po cichu, że car skończył. Mówiono o tem w całem mieście i wnet rojno się zrobiło na ulicach pomimo szarugi i wichru. Tłum gromadził się koło Aniczkowa, otoczył gmach prefektury (gradonaczalstwa) dobijał się do rządowej drukarni, skąd rozsyłano biuletyny, lecz sfery rządowe zachowywały się tak, jak gdyby nic się nie stało. Na ogromnych tablicach, wywieszonych w wielu punktach miasta, ciągle tkwił plakat, którym ogłoszono ostatni poranny biuletyn. Widocznie jeszcze niezupełnie przygotowano się na zmianę panującego, choć wiem, że manifest nowego cara już był wydrukowany i małemi pakami rozwożony po ministeryach. Pomimo nadzwyczaj licznej policyi i mnóstwa tajnych agentów, rząd widocznie nie wiedział jakie jest usposobienie publiczności i jej nie dowierzał. Ta nieufność była usprawiedliwiona, bo w ostatnich miesiącach panowania Aleksandra III niemal codzień wpadano na trop spisków. Wszakże zaledwo tydzień temu skazano wielu młodych ludzi, a między nimi i oficerów, na dożywotnią katorgę za uplanowany zamach na życie carskie. Dopiero po ósmej wieczorem, kiedy publiczność zaczęła się gromadzić koło teatrów, sal koncertowych i różnych tingl-tanglów, pojawili się wszędzie komisarze cyrkułowi z żandarmami, zaczęli rozdawać karty pośmiertne i wzywać publiczność, aby się nie gromadziła i nie tamowała ruchu. Wnet na ulicach pokazały się piesze patrole, nader liczne; rękojeście przy magazynowym mechanizmie strzelb były podniesione, co wskazywało, że karabiny były nabite. Wicher ustał, zaczęła się zamieć, ulice opustoszały. Krytyczna chwila minęła spokojnie; manifest, ogłoszony następnego dnia, sprawił dobre wrażenie. Rozpłakały się sfery oficyalne, giełdowe, kupieckie — i ludność dała się porwać temu prądowi. Teraz stolica przywdziewa zewnętrzną żałobę. Z mikołajowskiego dworca kondukt pójdzie Newskim Prospektem, skręci na ulicę Sadową, okrąży Letni ogród i przez most Petersburski zdąży do katedry Św. Św. Piotra i Pawła. Te ulice są aż czarne od żałobnych dekoracyi.

Lecz myśli już się całkowicie zwróciły ku nowemu carowi. Co on z sobą przynosi? — nikt nie wie. Wbrew zwyczajowi, który w Rosyi każe, aby „młody dwór“ — dwór carewicza — miał całkiem odmienne poglądy, niż dwór cara, Mikołaj II nie posiadał ani dworu, ani zaufanych; nie powstały jeszcze o nim żadne legendy, niewiele mówione nawet o jego romansach. Wysmukły, choć niższy od ojca, nieco pochylony naprzód, z twarzą owalną, otoczoną młodym zarostem, — w całem swem zachowaniu się skromny, jakiś cichy, jakby melancholijny i zadumany, robi wrażenie człowieka miękkiego, bardzo dobrego i bardzo wrażliwego, ale w piwnych jego oczach jest hart i przenikliwość. Nie zauważano w nim skłonności do zwykłych wielkoksiążęcych rozrywek, do parad wojskowych, do myśliwstwa, do popisywania się cugami. Podobno uczył się wiele i pilnie. Wybornie posiada wszystkie główne języki, oczywiście także duński i nowogrecki. Ale to jest charakterystyczne, że w ostatnich latach sam się nauczył po polsku, chociaż ten język już nie wchodzi do programu nauk carewiczowskich. W salonach petersburskich zawsze żartowano z tego, że carewicz nie czyta francuskich powieści, natomiast rozkochany jest w Puszkinie i Getem, w satyrykach Gogolu i Szczedrynie. Nie wiem czy to są naprawdę jego ulubieńcy, ale to wiem, że nadworny malarz Zichy illustrował dla niego tych pisarzy i że tylko te akwarele ozdabiały gabinet carewicza. Cóż jeszcze wiemy o nim? Podobno ostro ganił gospodarkę w ziemiach polskich; podobno jemu zawdzięczają Polacy, będący urzędnikami kolei południowo-zachodnich, że po zabraniu tych kolei w zarząd państwowy, zostawiono ich bodaj prowizorycznie na posadach; podobno któremuś Polakowi wyrobił prawo kupienia ziemi na Litwie i gdy ten dziękował mu za to, on odrzekł: „Naprawdę, to nie ma za co. Kup pan choć całą Litwę“. Ale to są opowiadania, których sprawdzić nie można; — może legendy, ułożone przez stęsknione serca.

Wyobraźnia ludu otoczyła narzeczoną młodego cara urokiem dobroci i słodyczy. My jej tu prawie nie znamy, ale wiemy, że w Darmstadzie nazywano ją „Princessin-Sonnenschein“, że się każdem nieszczęściem silnie przejmuje i że jest ulubienicą szlachetnej królowej Wiktoryi, która specyalnie zajmowała się jej wychowaniem, prowadzonem przez dwie Angielki, panie Orchard i Jackson, nierozłączne jej towarzyszki i teraz. Księżniczka podobno jest artystką: świetnie gra na fortepianie, niepospolicie maluje, pisze wiersze, ale co więcej warte od tego wszystkiego: nadzwyczajnie kocha całą swą rodzinę. Łzami się zalewała, odjeżdżając do Rosyi, a teraz codzień pisuje to do babki angielskiej, to do brata. Mówią jeszcze o niej, że posiada silną wolę i bardzo prawy charakter, odziedziczony po matce, którą straciła w szóstym roku życia, t. j. 16 lat temu. Nie wiem, jakie są jej uczucia dla narzeczonego i jego dla niej, ale muszą być przyjaźne, o ile o tem sądzić można z oznak zewnętrznych. Jeszcze z Liwadyi młody car rozkazał odnowić i upiększyć niezajęte od lat czterdziestu najwspanialsze w Pałacu Zimowym parterowe apartamenta, łączące się bezpośrednio z zimowym ogrodem, gdzie są wodotryski, groty, skały i cała podzwrotnikowa roślinność. Ten mały raj stworzył Mikołaj I dla swej ubóstwianej żony; teraz tam zamieszka księżniczka Alicya, czyli Aleksandra Teodorówna, ale aż po ślubie, który odbędzie się podobno za trzy miesiące, po grubej żałobie. Tymczasem będzie ona mieszkała u swej siostry Sergiuszowej w Moskwie.

Pragnienie zmian, reform, swobodniejszego oddechu jest tak powszechne wśród myślących Rosyan, że bez realnych podstaw zaczęli oni mówić, iż te reformy koniecznie będą i nieuniknienie być muszą. Utrzymują, jakoby już zmarły car miał poczucie, iż jego system nie da się dłużej zachować; głoszą, jakoby jeszcze w Spale, przeczuwając swój koniec, wyraził się: „Mnie strawiło to życie, niech-że syna oszczędzę“ — i kazał zawiadomić byłego ministra wojny hr. Milutyna, zwolennika szerokich reform i dlatego odprawionego razem z Lorys-Melikowem 13 lat temu, że chce z nim mówić. Jakoż faktem jest, że w drodze do Krymu oni się spotkali i rozmawiali długo, poczem Milutyn pierwszy raz za tego panowania przyjechał do Petersburga i był na dworcu ostentacyjnie przyjęty przez swych żyjących w cieniu zwolenników. Zrobiło to rozruch w sferach rządowych, co przeszło niepostrzeżenie tylko dlatego, że wiadomości z Liwadyi wszystkich przygniatały. Mówią dalej, że car Aleksander III codzień długo pouczał carewicza, co ma robić i do rady polecił wezwać właśnie Milutyna, oraz Abazę, Ormianina, dawnego ministra finansów, przyjaciela również Ormianina Lorys-Melikowa i stanowczego zwolennika reform. Zapewniają, że mówiąc w manifeście o „spuściźnie“ ojca, młody car miał na myśli te właśnie ostatnie nauki, które odebrał od niego. Oczywiście, to wszystko jest może tylko utworem fantazyi spragnionej reform, a zjazd zmarłego cara z Milutynem całkiem co innego znaczy, zawsze jednak dość znaczącym jest fakt następujący:

Ani w manifeście, ani w niezliczonych odpowiedziach na kondolencye, młody car nie napomknął o swem samowładztwie. Zwróciło to uwagę, było rozważane tu i w Moskwie w sferach wybitnych. Postanowiono wywołać jakiekolwiek oświadczenie cara, więc marszałek szlachty moskiewskiej ks. Trubeckoj tak się wyraził w kondolencyjnym telegramie do niego: „My nietylko myślą, lecz także wszystkiemi uczuciami łączymy się z Tobą, w którym moc świętej Rusi i potęga rosyjskiego samowładnego cara“. Mikołaj II odpowiedział: „Nie wątpiłem, że szlachta moskiewska z serca odezwie się na mój manifest. Ona boleje razem ze mną, mając serce rosyjskie. Ręka w rękę z nią, ja znajdę w sobie siłę do spełnienia ciężkiego zadania, które tak wcześnie spadło na mnie i poświęcę się zupełnie służbie drogiej ojczyzny“. A więc o samowładztwie ani słowa — służyć tylko przyrzeka.

I oto gruchnęło, że — nie ma wątpliwości; samowładztwo uważane jest za coś, czem się już nie należy popisywać. Natomiast stanęła na piedestału „służba“. W ten sposób, bez żadnego widocznego powodu, narzuciła się kwestya samowładztwa, jego praw, jego stosowności w Rosyi. Nikt nie dowodzi publicznie przeciw niemu, nikt się nawet słówkiem głośno nie odzywa, a jednak nagle wystąpił cały szereg jego obrońców, a — co jeszcze dziwniejsza — nie przemawiają oni spokojnie, akademicko, jako o rzeczy teoretycznej, lecz owszem: namiętnie, z widoczną irytacyą, jak gdyby bronili zaatakowanej pozycyi i nie byli pewni zwycięstwa. Na całej dziennikarskiej linii toczy się ta kampania. *Grażdanin* woła: „Potęga Rosyi spoczywa w jej cerkwi i absolutnej formie rządzenia. Car Mikołaj II ślubuje służyć cerkwi i wiernym być polityce ojca. To są rękojmie, że wszelkie liberalne chimery pozostaną chimerami“ i t. d. *Moskiewskie Wiedomości* głoszą: „Historycznym fundamentem rosyjskiego państwa jest ortodoksya i autokracya. Nowy car przyrzekł uszczęśliwić swój naród, a więc fundamentu tego nie naruszy“. *Kijewlanin* woła: „Aleksander III przywrócił spokój i porządek, nie ma tedy potrzeby szukać nowych dróg; rozwijajmy tylko dalej tę politykę!“

I tak wszystkie czynownicze i panslawistyczne dzienniki. Sprawia to takie wrażenie, że ci, którzy za nimi stoją, zwalczają kogoś, który jutro już może będzie miał prawo głośno się odezwać, ale dziś jeszcze musi milczeć. Bo inaczej, jakże to wytłómaczyć, że w chwili gdy wszyscy, zdaje się, są zajęci podróżą zwłok carskich po rosyjskiej ziemi, dzienniki czynowniczej kliki nagle rozpoczęły krucyatę w obronie — samowładztwa?

Piszą nam z Wiednia 10 listopada:

Wychodzący w Lublanie radykalny *Slovensky Narod* doniósł tymi dniami, że hr. Hohenwart na czele kilku posłów słoweńskich udał się do ministra sprawiedliwości, aby żądać ścisłego przeprowadzenia rozporządzenia, dotyczącego wywieszenia godeł dwujęzycznych w Istryi. Wczoraj *Vaterland* zaprzeczył tej plotce. Wprawdzie *Vaterland* zaprzeczenie starannie poobwijał w bawełnę różnych nienależących do rzeczy uwag, ale kto ten artykulik przeczytał do końca, dowiedział się przecież, że hr. Hohenwart w tej sprawie nie udawał się do ministra sprawiedliwości. Jakoż w ogóle trudno przypuścić, aby tak wytrawny mąż stanu, jak hr. Hohenwart, w tej drażliwej kwestyi stawał wyłącznie po stronie Słoweńców. To też, aczkolwiek *Slovensky Narod* obstaje przy swem doniesieniu, można bezpiecznie dementi *Vaterlandu* uważać jako autentyczne. W ogóle w tej sprawie posłowie włoscy zachowali się całkiem odpowiednio. Należąc do koalicyi, nie robili hałasu w parlamencie, nie atakowali gabinetu interpelacyami itd., lecz starali się, jak należało, poufną drogą spór załagodzić, gdy przeciwnie Słoweńcy, nietylko, ci, którzy należą do opozycyi „słowiańskiej“, ale także ci — jest ich 6ciu — którzy zasiadają w klubie hr. Hohenwarta, nie wahali się roznamiętniać kwestyi interpelacyami. Nie widzimy żadnego powodu, aby Polacy musieli stawać raczej po stronie Słoweńców, niż po stronie Włochów, należących do koalicyi? Co najwięcej możnaby się od nas domagać neutralności, ale przecież tego nie powinna żądać szóstka posłów słoweńskich, aby cała reszta koalicyi występowała w roli figurantów *in majorem gloriam* dezyderatów słoweńskich!

Młodoczeski poseł Sokol dziś w rozprawach o projekcie, dotyczącym dostawy rekrutów (!), ponownie poruszył kwestyę zapisywania czeskich mów do stenograficznego protokołu Izby. Jest to znowu jedna z tych karykatur, do których prowadzi mechaniczne równouprawnienie bez uwzględnienia realnych stosunków. Posłowie nasi od 33 lat bez przerwy zasiadają w Izbie, a nigdy nam na myśl nie przyszło domagać się wpisywania polskich mów do protokołu. Zadawalniamy się teoretycznie zabezpieczonem równouprawnieniem, złożeniem przyrzeczenia w języku polskim i teoretycznem prawem wygłaszania mowy w tym języku, ale nie domagamy się rzeczy niemożliwych, uwzględniamy realne stosunki. Zamieszczanie w protokole mów, wygłoszonych w innych językach, jak niemiecki, wymagałoby albo prezydenta, któryby władał 2 językami, albo 7 prezydentów, po jednym dla każdego języka. To byłaby logiczna konsekwencya tej zasady w równouprawnieniu. A nawet, gdyby ono w ten sposób zostało rzeczywiście przeprowadzone, w praktyce nie tylkoby się to na nic nie przydało, lecz wspólny parlament stałby się niemożliwym. Wszyscy posłowie umieją po niemiecku, przynajmniej rozumieją ten język. Natomiast na 353 posłów znalazłoby się co najwięcej 60 i kilku, a czasem może zaledwo 20-tu, którzy rozumieją jeden z innych 6 języków. Po usunięciu więc niemieckiego języka, jako głównego środka rozpraw, wszelka parlamentarna dyskusya stałaby się niemożliwą. Jeżeli my, Polacy, uwzględniając ten faktyczny stan rzeczy, bez wahania przyjmujemy język niemiecki jako środek dyskusyi parlamentarnej, to z pewnością takie ustępstwo nie uwłacza ani Czechom, ani innym. Jakoż posłom staroczeskim przez 12 lat nie przyszło na myśl żądać w Radzie państwa tej „reformy“, która mechaniczne równouprawnienie sprowadza ad absurdum. Żądanie to młodoczechów jest tylko jednym z licznych dowodów, które świadczą, że także po za russofilizmem jest jeszcze bardzo wiele innych przeszkód, które stronnictwu roztropnemu kooperacyę z nimi uniemożebniają. Aby to skonstatować od czasu do czasu, na to nie potrzeba żadnego specyalnego uprzedzenia i wstrętu; zupełnie na to wystarcza najprostszy zmysł polityczny. A jeżeli nam niedawno zarzuciły *Narodni listy*, że będąc „sytymi“, nie rozumiemy głodu czeskiego, to przecież ów rzekomy głód nie powinien się wyradzać w apetyt właśnie za przysmakami, których nie łakną inni.

Piszą nam z Wiednia 11 listopada.

Maksyma „calumniare audacter, semper aliquid haeret“ nie dopisała. Z wczorajszej interpelacyi Gessmanna i towarzyszy w sprawie rzekomych subwencyi, pobieranych przez *N. Fr. Presse* od Stambułowa, nic a nic nie pozostało. Ogłoszone dziś w wymienionym dzienniku depesze ministrów Stoiłowa, Naczowicza, a nakoniec nawet samego Księcia Ferdynanda który o 12 w nocy z Euxinogradu zapewnia przez swego sekretarza, że *N. Fr. Presse* nie otrzymała żadnych subwencyi, ową plotkę cechują jako proste oszczerstwo! Że p. Gessmann umiał interpelacyę oprzeć na plotce pokątnego pisemka, wychodzącego w Sofii, dowodzi to obniżenia poziomu parlamentarnego. Przeciwko Stambułowowi występowały tylko dzienniki *russofilskie*, potrzeba więc było pewnej naiwności politycznej, aby przypuszczać, że *N. Fr. Presse* jedynie dzięki subwencyi popierała Stambułowa. Gdyby były prezes gabinetu bułgarskiego był płacił wszystkie dzienniki europejskie, które stawały po jego stronie, cały budżet Bułgaryi nie byłby na to wystarczył. Skłonność do podejrzywania i denuncyacyi jest niestety starą chorobą specyalnie wiedeńską. Czas, aby się przecież raz z niej wyleczono. Dla *N. Fr. Presse* ta interpelacya stała się tylko reklamą.

W sprawie rewirów rybackich.

Rozporządzeniem z dnia 20 września i 1 października b. r. c. k. Namiestnictwo we Lwowie zarządziło w starostwach w Nowym Targu, Myślenicach, Limanowej, Wieliczce, Bochni, Wadowicach i Żywcu przeprowadzenie pertraktacyi ofertowych w celu wydzierżawienia rewirów rybackich na Rabie i Skawie, uznanych dotyczącymi prawomocnymi edyktami za dzierżawne. W ślad za tymi dwoma edyktami pójdą inne i wkrótce rozpocznie się w różnych powiatach kraju gorączkowy ruch, którego ostatecznym rezultatem będzie mniej lub więcej pomyślne załatwienie kwestyi rewirów jako wyrazu nowej ustawy rybackiej. W myśl § 30 ustawy rybackiej obejmuje z chwilą wydzierżawienia rewirów Wydział krajowy funkcye tak zwanych wydziałów rewirowych rybackich t. j. kontrolę gospodarki, zarybianie wód płynących, zawiadywanie funduszem taks rewirowych etc.

W obecnej chwili nasuwa się mimowolnie pytanie, kto w kraju słynącym niegdyś z obfitości ryb i rybołowstwa rzecznego dziś zaniedbanego bezgranicznie, będzie dzierżawił rewiry? W czyich rękach rybactwo na rzekach podniesie się w tym stopniu, w jakim się podnieść powinno przy troskliwej opiece ze strony rządu, pod ochroną nowej ustawy rybackiej? Kto ma potrzebne warunki, aby gospodarząc uczciwie i sam miał korzyść i sprawie był pożytecznym?

Ponieważ dobre skutki ustawy rybackiej, jak w ogóle cała przyszłość rybactwa na wodach śródkrajowych zależeć będzie od gospodarki, jaką przyszli dzierżawcy rewirów prowadzić będą, jakość zaś jej zawisła w pierwszej linii od ich rodzaju, przeto wybór dzierżawców jest obecnie najważniejszą kwestyą, stanowiącą o losach rybactwa przez najbliższych 10 lat.

Niezaprzeczenie najodpowiedniejszymi i najlepszymi dzierżawcami byliby rybacy zawodowi. Niestety z wyjątkiem kilku okolic, gdzie rybołowstwo stało się niemal dziedzicznem zatrudnieniem rodzin, brak ich w naszym kraju zupełnie, a większość tych, co się mienią rybakami zawodowymi, należy do kategoryi kłusowników, dbających tylko o własną kieszeń lub o zaspokojenie wrodzonej namiętności do rybołowstwa. Rybacy tego rodzaju nad wodą rybną niebezpieczniejsi są od szczupaków w wodzie, tępią bowiem bez miłosierdzia wszystko, co się w sieć lub płótno nawinie, o każdej porze dnia i nocy bez względu na czas ochronny a najchętniej na tarliskach. Kilku takich dzierżawców na rzece wystarczy do wyniszczenia jej na długie lata.

Tylko znani z uczciwości i fachowego uzdolnienia rybacy nadają się zatem na dzierżawców rewirów rybackich; reszta znajdzie dość zatrudnienia jako najemni pomocnicy przy połowie ryb wykonywanym przez prawomocnych dzierżawców.

Jeszcze mniej nadają się na dzierżawców handlarze ryb, spekulanci, którzy gotowi będą wydzierżawić rewir nawet za najwyższą cenę, ale tylko w spekulacyjnych celach, aby go następnie z ominięciem przepisów ustawy rozszczepić na drobne odcinki i oddać je z zarobkiem na pastwę niesumiennym poddzierżawcom. Trudno będzie zapobiedz takim spekulacyom i ustrzedz się przed niemi.

Prowadzenie racyonalnej gospodarki rybiej na rzekach według zasad nowej ustawy rybackiej, wymaga w każdym razie pewnego nakładu, którego wysokość zawisłą będzie od wysokości czynszu dzierżawnego, rozległości i stanu zarybienia rewiru wreszcie od miejscowych stosunków. Tak zwani rybacy zawodowi w naszym kraju, są to zazwyczaj ludzie biedni, którzy przy najlepszych chęciach nie będą mogli z braku funduszów ani lepszych rewirów dzierżawić ani na wydzierżawionych prowadzić gospodarki tak jak tego wymaga wzgląd na dobro rybactwa i jego przyszłość. Skutkiem tego wielka ilość rewirów rybackich w kraju pozostałaby niewydzierżawiona, a jak-

---

3)

ZAGRZEBANI

POWIEŚĆ

przez Klemensa Junoszę.

(Ciąg dalszy).

Ujrzawszy pana Symplicyusza, Joel do biedki przybiegł i zawołał:

— Aj waj! aj waj! kogo ja widzę! kogo ja mam szczęście oglądać?! Wielmożny pan Jajko... taka godna osoba! taki rzadki gość. Pan dobrodziej już dawno nie był w naszych stronach, na moje sumienie... bardzo dawno!...

— Od zimy, kochany panie Joel... jakże się miewasz?!

— Dlaczego ja nie mam się miewać?... miewam się Bogu dzięki, jak groch kiele gościńca... Ny! ny! akurat dobrze wielmożny pan sprzedał mi tamtego starego, kasztanowatego konia, co miał na prawe oko zaciąg...

— Nie prawda, bo ja ci zdrowego konia sprzedałem.

— Nie mam pretensyi!... Może on u mnie dostał zaciągu, ale ja jego puściłem w świat... Sprzedałem chłopowi. Od chłopa go złodzieje ukradli; od złodziei kupił jakiś mieszczanin na jarmarku; potem z tego interesu była sprawa, była awantura, stawałem ja za świadka!... świadczyłem, na moje sumienie! — Ny!... wie wielmożny pan, jaki był skutek z tej całej sprawy? Jak my gadali w sądzie, sąd miał pisać wyrok, a kuń sobie stojał przed sądem, złodzieje jego znowu ukradli i już było po sprawie! Posądzali jednego żydka... ale to była nieprawda... tylko to było prawda... co kuń przepadł... Wielmożny pan pewnie u nas będzie nocował? Mam śliczne stancye, jak złoto.

— Nie! nie!... popasę tylko ze dwie godzinki i pojadę.

— Na noc?... po co wielmożny pan na noc ma jechać?

— Pilno mi!

— Gdzie? gdzie panu tak pilno? gdzie pan dziś zajedzie?... Dworów w naszych stronach blisko nie ma... Najbliższy w Maciejowie, ale ztąd rachuje się trzy mile drogi... Sam piach! i to jakie trzy mile! Chłopskie mile... żebym ja tak był zdrów. One są warte tyle, co cztery, co pięć nawet.

— Wiem ja, wiem; znam tu dobrze nietylko drogi, ale nawet każdy kamień przy drodze. Tymczasem dajno panie Joel, wiązeczkę siana dla mojego deresza.

— Zaraz, panie!... Piękny deresz — rzekł, przypatrując się koniowi — takie bydlę wspaniałe... to cały gmach! na moje sumienie... Osoba! jemu prędzej do karety pasuje, niż do biedki!

Pan Symplicyusz konia rozkiełznał, przyniesione przez Joela siano przed nim rzucił, a sam na ławeczce przed karczmą usiadł.

— Jakoś tu pusto u ciebie, mój Joelu — rzekł.

— Aj, pusto, wielmożny panie, pusto! Te koleje całkiem nas zgubiły. Z przeproszeniem nie ma co do gęby włożyć. Tak, propinacya, co była warta parę tysięcy, dziś nie znaczy nic. Ot, siedzi człowiek, aby siedzieć, bo co ma robić?.. trzeba żyć. A tymczasem jest coraz gorzej. Wielmożny pan Jajko jest człowiek mądry, wielmożny pan ciągle po świecie jeździ... Taka osoba, to wszystko wie; niech tedy wielmożny pan powie: czy będzie trochę lepiej na świecie, czy nie?

— Dziwne, mój Joelu, zadajesz mi pytanie; zkądże ja mam wiedzieć? przecież prorokiem nie jestem.

— Mnie się zdaje, co będzie coraz gorzej... W naszych książkach tak stoi, a co tam stoi, to prawda jest. Wszystko na świecie będzie sobie psuło, psuło, dopóki się całkiem nie popsuje. Oto widzi pan, że propinacya coraz gorzej się psuje, handel także się psuje. Popsuła się szlachta, popsuli się chłopy; nawet ziemia się psuje, bo dziś niebardzo się kupca na nią znajdzie... Patrz pan dobrodziej, choćby na tę naszą karczmę tu w Woli...

— No, cóż?... rudera!

— Całkiem rudera; trochę w niej cegły, trochę dachu, a najwięcej dziurów w dachu. A kiedy kolei nie było, kiedy tą drogą każdy musiał jechać... ha, ha! ośm tysięcy propinacya szła. Żebym ja miał jeden procent od tych pieniędzy, co przez tę karczmę przeszły! A ile ztąd, z tej karczmy, wyszło wielkich kupców na zboże, na lasy... ile wielkich bankierów!... A dziś, co tu jest dziś?... Nawet dworów dużo ubyło. Obacz pan u nas w Woli, gdzie dwór stał, teraz niemiecka wieś. Oni ją nazywają „Franzdorf“. Z dworu ludzie mieli życie, a z Niemców kto co ma? Do dworu chłopy chodzili na zarobek, do dworu żydki jeździli za handlem... A Szwaby? Chłop u nich nie zarobi, bo każdy kolonista ma swoich dzieciów gromadę. Ja nawet nie wiem, zkąd oni biorą tyle dzieciów. Żyd od Niemca także się nie pożywi... jakim sposobem? Oni wszystko sami wywożą do miasta, nawet wódki nie przyjdą kupić do karczmy, tylko sprowadzają sobie z innych miejsców. No, powiedz pan dobrodziej, jak tu żyć, z czego żyć teraz?... Obacz pan miasteczko, jaki tam ścisk wielki. Kramarze powiadają, że czasem przez trzy dni nikt do kramu nie przyjdzie. Ładne czasy! dalibóg, ładne czasy! Z pomiędzy naszych wybiera się dużo do Ameryki, za morze, ale nie mają za co jechać... Zkąd mają mieć?

Długo jeszcze lamentował na ten temat Joel, ale pan Symplicyusz niebardzo słuchał. Zajęty swemi myślami, narzekania Joela jednem uchem wpuszczał, drugiem wypuszczał, jak to mówią.

Wzrok jego błądził po chatach chłopskich, po zabudowaniach kolonistów, po polach.

A Joel swoje wciąż prawił.

— Nasza Wola już przepadła całkiem i zmarniała. W Paciorkach zaraz będzie to samo i jeszcze kilka majątków w naszych stronach mają koloniści kupić. W zeszłym tygodniu jechali tędy dwa Niemcy do Maciejowa.

Pan Symplicyusz drgnął.

— Do Maciejowa, powiadasz?

— Na moje sumienie. Gorąco było tego dnia, można poprostu powiedzieć, co ogień z nieba leciał. Oni popasali tu i wypili pięć buteiek piwa... Wierzy pan? to był mój cały targ tego dnia! Oni gadali dużo między sobą, ja słuchałem. Wiadomo: kto propinacyę trzyma, to musi słuchać. Ja, Bogu dzięki, rozumiem trochę po niemiecku, więc miarkowałem zaraz, co oni mają za interes.

— Cóżto za jedni? proszę cię... Zkąd?

— A zkąd Niemiec ma być? Wiadomo, że z Niemców. Te dwa, co do Maciejowa jechali, to nie byli proste kolonisty, tylko machery. Oni kupują cały majątek, a potem wycinają las, a ziemię sprzedają drugim Niemcom.

— A powiedz mi Joelu, bo może ci to wiadomo, czy skończyli interes w Maciejowie — kupili? czy nie? Przecież, skoro tędy jechali, to i tędy musieli wracać, i, zapewne wstępowali do ciebie.

— Oni powracali całkiem inną drogą, nawet wiem którą... Wszystko wiem... Mówili mi żydki z miasteczka. Młodszy pan koniecznie chce sprzedawać; starszy trochę marudzi — ale pewno ustąpi. On miękki charakter ma — a Niemcy „baares Geld“ na stół kładą...

— Ale przecież odrazu nie skończyli?...

— Blizkie już są, — za trzy tygodnie znowu mają przyjechać.

Pan Symplicyusz odetchnął...

Mrok zapadł, — letnia noc otuliła ziemię czarnym płaszczem. W górze migotały gwiazdki. Pan Symplicyusz podniósł się z ławy.

— Czas jechać! — rzekł.

— Aj! niech wielmożny pan to nie robi, po co jechać na noc, kiedy za parę godzin dzień będzie. W lesie gościniec trochę reparowali, nakładli faszyny i gałęzi, więc teraz bardzo łatwo wywrócić, a na rzece mostu nie ma i trzeba wykręcać przez chłopskie pastwiska do brodu... Jak wielmożny pan odszuka bród po nocy? jak trafi do niego, po pastwisku, gdzie pełno rowów?... Lepiej przeczekać, aż świtać zacznie.

Pan Symplicyusz pomyślał chwilę i rzekł:

— Masz słuszność... poczekam!

— A widzi pan, Joel zawsze ma słuszność. Poczekanie jest dobra polityka, a nagłość nie wiele warta.

— Zawsze, jak widzę, jesteś dyplomatą i lubisz o polityce mówić.

— Oj! wielmożny panie! teraz nastała w naszej okolicy taka polityka, że niech jej oczy moje nie widzą...

(Ciąg dalszy nastąpi).

kolwiek Wydział krajowy, jako pełniący funkcye wydziałów rewirowych rybackich, roztoczy nad nimi swą opiekę, to przecież w braku interesowanego właściciela staną się one pastwą tych wszystkich pokątnych amatorów rybactwa, których ustawa od prawnego wykonywania rybołówstwa usunie. Jestto więc dla rybactwa kwestya żywotna, aby ile możności wszystkie rewiry dzierżawne oddane zostały w dzierżawę, bez względu na wysokość czynszu, natomiast w ręce ludzi, którzy dadzą pewną gwarancyę, że hodowlę ryb będą prowadzili racyonalnie, a nie tylko w celach spekulacyjnych. Takich ludzi, którzy po części z zawodu swego, po części dla innych danych im warunków byliby najlepszymi dzierżawcami mamy w kraju podostatkiem. Są to mianowicie właściciele dóbr większych i mniejszych, posiadacze folwarków, dzierżawcy dóbr, wreszcie po małych miasteczkach wielu tak zwanych właścicieli realności t. j. zamożnych gospodarzy prowadzących na małą skalę wiejskie gospodarstwo.

Jakkolwiek dotychczas obywatelstwo nasze mało się zajmowało sprawami rybactwa rzecznego, to mimo tego uważamy je jako jedynie powołane do dźwignięcia z dotychczasowego upadku tej ważnej gałęzi dochodu. Właściciele lub dzierżawcy obszarów ziemi mają po temu najlepsze warunki. Dwory leżą zazwyczaj nad rzekami lub w ich bliskości; liczny personal dworski jak polowi, leśni, stawowi etc., może z łatwością nadzorować rewir bez narażenia dzierżawcy na koszta utrzymania osobnej straży rewirowej; pośrednictwa w sprzedaży ryb złowionych podejmują się każdej chwili karczmarz lub inny handlarz ze wsi lub okolicznego miasteczka; rybacy potrzebni do wykonywania rybołówstwa znajdą się w każdej wsi za najniższą zapłatą lub za wynagrodzeniem kilkoma rybami podlejszego gatunku; wreszcie stosunki materyalne każdego obywatela ziemskiego umożliwią wyłożenie choćby małej kwoty na zarybienie rewiru we własnym interesie a z pożytkiem dla sprawy rybackiej, tem bardziej, że wielu ma gospodarstwa stawowe i zbywający narybek.

Spotykaliśmy się często z twierdzeniem wypowiadanem w formie usprawiedliwienia, że „obywatel sam ryb łowić nie będzie". Rzecz naturalna, i tego nikt wymagać nie może. Lecz przecież właściciel, czy dzierżawca ziemi jest rolnikiem, chociaż sam za pługiem nie chodzi; hoduje bydło a sam trzody na pastwisko nie pędzi; miewa stawy a własną ręką sieci nie zaciąga. Tak samo jest z rybołówstwem rzecznem. Chodzi tu o zarząd, o prowadzenie racyonalnej gospodarki, a ludzi do wykonywania potrzebnych czynności znajdzie każdej chwili podostatkiem. Każdy dobry gospodarz na wsi wyzyskuje wszystkie dary przyrody, jakie w swej majętności znajdzie, orze i zasiewa rolę, wypasa łąki, użytkuje lasy i sady, ochrania zwierzynę; każda piędź ziemi dochód mu pewny przynosi. Dlaczegoż wodę jedynie, płynącą w granicach jego majątku z całem bogactwem skarbów, jakie w sobie mieści, oddaje na pastwę złodziei i darmozjadów, które karygodną zabawkę znajdują w niszczeniu cennego daru Bożego. Uważając to za rzecz obojętną, właściciele obszarów ziemi nad rzekami szkodę ponoszą, pozbawiając się dobrowolnie znacznego dochodu i wygody łatwego uzyskania ryb w razie potrzeby. Znamy wypadek w pewnej miejscowości nad Dniestrem, gdzie właściciel wioski kupił za drogie pieniądze z trzeciej ręki kilka sztuk czeczug i szczupaków, złowionych w jego własnej wodzie pod dworem. Kwota wydana wówczas za kilka ryb wystarczałaby była na pokrycie kosztów kilkudziesięciu połowów we własnym zarządzie dokonanych. Prócz własnej szkody jednak wyrządzają obywatele krzywdę całemu społeczeństwu, przyczyniając się biernem zachowaniem się w obec sprawy rybactwa do zupełnego upadku tego ważnego źródła dochodów dla kraju. Obecna chwila jest najstosowniejszą do naprawienia złego. Właściciel lub dzierżawca majątku ziemskiego, wydzierżawiając rewir w swej okolicy, nietylko stworzy dla siebie nowe źródło dochodów, lecz spełniając dobry uczynek dla sprawy rybackiej, wypełni zarazem obowiązek obywatelski.

Dotychczas brakło rybactwu ochrony określonej ustawą, brakło dostatecznej opieki ze strony rządu — łowił kto chciał i gdzie chciał, a na złodzieja i szkodnika trudno było dowołać się sprawiedliwej kary; nic zatem dziwnego, że w kołach naszego obywatelstwa wiejskiego panowała zupełna obojętność dla sprawy rybactwa rzecznego. Dziś stosunki się zmieniły. Nowa ustawa rybacka ujmuje w ścisłe przepisy całą gospodarkę rybną na rzekach śródkrajowych, uprawniony do rybołówstwa znajdzie w powołanych do tego organach rządowych i krajowych troskliwą opiekę swych praw i przywilejów. Potrzeba tylko dobrej chęci i trochę wiary w lepszą przyszłość i odwagi na pierwszą próbę, a wkrótce przejdzie rybołówstwo w ręce obywatelstwa przynajmniej na tak długo, aż lepsze stosunki rybackie, zwiększona przy racyonalnej gospodarce produktywność rzek, wytworzą z czasem oczciwych fachowych rybaków, jakich już mieliśmy w naszym kraju przed dwoma wiekami a jakich i dziś nie brak w innych prowincyach monarchii.

Z. Fiszer.

Z wystawy.

(Pawilon Wydziału krajowego).

XV.

Na tem zakończyliśmy przegląd wszechstronnych okazów, jakie mieści w sobie pawilon Wydziału krajowego, a zadanie nasze sprawozdawcze byłoby skończonem, gdyby nie pozostałe refleksye, jakie po tego rodzaju rachunku z dotychczasowego dorobku, który krajowi przyniosło szkolnictwo przemysłowe, przychodzą mimowoli na myśl.

Ta nieliczona ilość okazów z tak licznych gałęzi krajowego przemysłu, ta wszechstronność w systemie szkolnej nauki i praktycznego wykonania, to skończenie poprawne wykonanie pojedyńczych wyrobów, tak w kierunku technicznym jak i estetycznym, to niezaprzeczony dorobek ostatnich lat dziesiątka, to racyonalny bo zasadniczy kierunek wprowadzenia wszelkich gałęzi przemysłu krajowego na drogę postępowej produkcyi, a to przez przysporzenie rzemiosłom inteligentnych i umiejętnie w zawodzie swym wykształconych pracowników.

Jeżeli myślą cofniemy się tych kilkanaście lat wstecz, kiedy po wynikach, jakie dała wystawa krajowa w r. 1877, całe usiłowania władz krajowych zwróciły się w kierunku najenergiczniejszego starania, by o racyonalną organizacyę w kraju szkół rękodzielniczo-przemysłowych, jako jedynej a najważniejszej dźwigni podniesienia i rozwinięcia licznych gałęzi przemysłu domowego, opartego na rodzimym wątku, a tem samem przez wprowadzenie na racyonalne i postępowe tory produkcyi rzemieślniczej, umożebnienie jej dalszego rozwoju fabrycznego i handlowego, jakiż zważywszy trudności na jakie tego rodzaju usiłowania w kierunku podźwignięcia przemysłu krajowego napotykały, a równocześnie bez żadnego uprzedzenia przeciwstawiwszy tym usiłowaniom wyniki, to musimy przyznać, a tem samem powtórzyć zdanie zdrowo myślącego ogółu, że dotychczasowe rezultaty są poważne, stwierdziły bowiem racyę bytu przez kraj stawianych owych przynajmniej podstawom gruntu do ich urzeczywistnienia.

Z drugiej jednak strony nie należy nam zaskorupiać się w pełnem zadowolnieniu z dotychczasowego wyniku i pomyślnego w wielu kierunkach wzrostu, ale patrzeć w obec, a kierunku tej myśli przewodniej i pracy naszej zrozumieć, że właśnie obecnie nastała chwila do właściwego rozwoju tego, co zrobiono, a do krzewienia nowego tam i w takim kierunku jak na to wskazuje potrzeba rozwinięcia istniejących gałęzi przemysłu krajowego, a podjęcia nowych.

Dotychczas bowiem zdołano przedewszystkiem pokonać wiele przesądów, przekonać przeciwników, a nawet niechętnych zjednać; jednem słowem zbudowano silny fundament niezaprzeczonej racyi i nieodzownej potrzeby jak najliczniejszego zakładania w kraju szkół rękodzielniczo-przemysłowych o wszechstronnych, a w kraju przyszłość mających kierunkach rzemiosł. Do przyszłości zaś należy na fundamencie tym wznosić dalej gmach, któryby we wszystkich kierunkach, okazujących się w kraju braków, mógł w niedalekiej przyszłości otworzyć krajowemu przemysłowi szerokie podwoje, aby niemi do rozlicznych gałęzi przemysłu spieszyli inteligentni i zawodowo wykształceni pracownicy, celem dźwignięcia ich wspólnemi siłami na wyżynę racyonalnego postępu, a tem samem zaprowadzenia do zwycięstwa z konkurencyą zagranicy.

Jakich bowiem korzyści spodziewać się możemy z bogactw kraju w najlepsze surowe materyały obfitującego, co pomoże najbardziej wzorowe urządzenie zakładów przemysłowych i poświęcenie na te cele całych nieraz fortun, wieleż wskórać możemy sprowadzaniem i wprowadzaniem w produkcyę najnowszych maszyn i pomysłów powiększających ich produktywność, co nawet podoła najwykształceńszy fachowo i teoretycznie kierownik warsztatu lub fabryki, skoro brak mu „rąk" do postępowej pracy, ale nie rąk ruszających się mechanicznie, lecz wyrobionych elementarnie w zawodowym kierunku, zastosowanym do odnośnego rzemiosła, któremi w praktycznem stosowaniu nabytych wiadomości kieruje „bystry umysł i otwarta głowa".

A takich właśnie rzemieślników dostarczyć mogą pojedyńczym gałęziom przemysłu jedynie szkoły rękodzielniczo-przemysłowe, do społeczeństwa zaś należy, aby wszechstronnem poparciem tych instytucyi umożliwiło im pomyślne tego zadania wypełnianie, podczas gdy rzeczą powołanych władz jest jak najliczniejsze rozpowszechnienie tego rodzaju szkół.

Dotychczasowe bowiem wyniki działalności istniejących szkół zawodowych wykazały przedewszystkiem, że szkoły zawodowe zyskały w kraju prawo obywatelstwa, że na podatnym w tym kierunku gruncie, mimo nadzwyczaj szczupłych i trudno uzyskiwanych na ich organizacyę dotacyi, rozwijają się szybko i pomyślnie, a rozwijają siłą woli, poświęcenia i energii ludzi do tego powołanych, w przeciwstawieństwie do sztucznego nieraz podtrzymywania wegetacyi takich szkół w innych krajach, przez wydzielanie pełną ręką funduszów na ich organizacyę i środki umożliwiające korzystanie ze szkół tych młodzieży, rekrutującej się przeważnie z najuboższych warstw społeczeństwa. Nie mniej wykazała ekspozycya wyrobów krajowych warsztatów szkolnych we wszystkich reprezentowanych gałęziach rzemiosł, znamienitą wyższość ich ponad takiemiż wyrobami warsztatów prywatnych, a to tak pod względem wykonania technicznego, jak i strony estetycznej stylowej, która to znowu okoliczność stwierdza najdowodniej racyę zdania wypowiedzianego przez organizatorów tych szkół, że: kraj nasz potrzebuje jak największej liczby szkół przemysłowo-zawodowych i dopokąd w tym kierunku nie dojdziemy do równowagi z innemi prowincyami państwa, dopotąd wszelkie usiłowania jednostek około podniesienia stanowiska postępowej produkcyi rzemiosł krajowych i zawodowego wykształcenia rzemieślników muszą iść oporem.

Należy przeto żywić niepłonną nadzieję, że podobnie, jak wystawa krajowa z r. 1877 wskazała na potrzebę organizacyi szkół przemysłowo-rękodzielniczych jako najważniejszych instytucyi, podejmujących przemysł rodzimy, z domowego zacisza na arenę postępowej produkcyi, przez systematyczne tegoż kształcenie; tak skoro rezultaty obecnego rachunku z podjętych w tym kierunku działalności okazały się tak wydatnemi i obecna chwila będzie uważaną jedynie jako częściowy tryumf spełnionego zadania, a głównie jako uzasadniony powód do dalszej przyspieszonej akcyi w kierunku wytkniętym.

Jeszcze bowiem wiele gałęzi rękodzieł — mogących krajową produkcyą zaspokoić nietylko lokalne potrzeby, ale stać się w przyszłości konkurencyjnemi w obec obcych napływów, powinno znaleźć źródło naukowo-zawodowego wykształcenia w odnośnych działach szkół przemysłowych; tak jak od wielu już w szkołach reprezentowanych — domaga się obecny stan przemysłu krajowego — znacznego ich pomnożenia.

Już w toku naszego sprawozdania mieliśmy sposobność zauważyć, że powiększenie liczby szkół ślusarskich jest nieodzowną potrzebą, przyczem nie możemy pominąć, że rozszerzenie działu przemysłu metalowego przez uzupełnienie tak ważnymi zawodami jak: blacharstwo, bronzownictwo i cyzelerstwo (rzeźbiarstwo w metalu), jest tem słuszniejszem żądaniem odnośnych gałęzi przemysłu, o ile naprzykład zaliczenie dwóch ostatnich zawodów w program organizacyi państwowej szkoły przemysłowej we Lwowie oczekuje z roku na rok zrealizowania.

Z drugiej strony tak pomyślne wyniki działalności krajowej stacyi keramicznej, oraz tradycya i rozwój tego przemysłu w kraju, nie powinne przejść bez wrażenia, którego wyrazem będą niezawodnie pod ętym przez kompetentne władze starania, w kierunku zorganizowania oddziału dla przemysłu keramicznego — przy państwowej szkole przemysłowej we Lwowie, a to tembardziej, o ile od początku dział ten zaliczonym był w organizacyjny program tej szkoły.

W dziale szkół dla wyrobów ze skóry, reprezentowanym, jak to wspomnieliśmy, jedynie przez dwa krajowe warsztaty szewskie, niezbędnem jest tak zwiększenie ich liczby, jak rozszerzenie kierunku naukowego na rzemiosło rymarskie i rękawiczniotwo, — jako rękodzieł taką przyszłość dla krajowego przemysłu mających.

W tych co najmniej kierunkach należy się nam spodziewać dalszego rozwoju zawodowego szkolnictwa przemysłowego w kraju, — w przekonaniu silnem podjęcia żywej i pomyślnej akcyi dalszej — przez tak zasłużoną około rozwoju szkolnictwa przemysłowego instytucyę, jaką jest **krajowa komisya dla spraw przemysłowych**, której władze rządowe najniezawodniej i nadal przychylną podadzą dłoń do współdziałania; podczas gdy społeczeństwo nasze tak dbałe o rozwój przemysłu krajowego, otoczy instytucye te życzliwością i zasłużoną opieką, zaczem pójdzie nietylko liczniejsza produkcya wyrobów — więc i znaczne obniżenie cen, ale i odpowiednie konsolidowanie się przez tworzenie Towarzystw handlowo-produkcyjnych dla pojedynczych gałęzi krajowego przemysłu, wówczas też możemy być pewni, że w przyszłym popisie — nawet na szerszej arenie konkurencyi — krajowy nasz przemysł nie pozostanie w tyle, a to jest na razie cel, do którego po tryumfie tegorocznego popisu powinniśmy dążyć wszelkiemi siłami.

Prof. Tadeusz Münnich.

KRONIKA.

Lwów 10 listopada.

Stypendya. Najj. Pan nadał najwyższem postanowieniem z dnia 30 października br. stypendya o rocznych 1000 zł. z fundacyi noszącej Jego imię, a utworzonej przez kraj przy sposobności 40-letniego jubileuszu wstąpienia na tron, zgodnie z wnioskiem Wydziału krajowego: drowi filozofii Kazimierzowi Janowi Aleksandrowi tr. im. Miczyńskiemu, absolwowanemu słuchaczowi studyum rolniczego na uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie dla kształcenia się za granicą w rolnictwie i uprawie roślin oraz Alfredowi Karolowi dw. im. Broniewskiemu, b. uczniowi politechniki we Lwowie na wydziale budownictwa.

Uznanie. Proboszcz czernowiecki r. l. ks. Józef Schmid otrzymał złoty krzyż zasługi z koroną za długoletnią gorliwą działalność w duszpasterstwie wojskowem.

W sprawie święcenia niedzieli. Wniesiona niedawno do Rady państwa przez ministra handlu nowela w sprawie odpoczynku niedzielnego jest znacznym krokiem naprzód ku rozwiązaniu tej palącej kwestyi społecznej i religijnej, zwłaszcza, że odważono się raz wypowiedzieć te słowa „święcenie niedzieli" i uwzględniono czas nabożeństwa przedpołudniowego. Jeżeli jednak ta nowela przyniesie pewne korzyści robotnikom, rzemieślnikom i pomocnikom handlowym, to o licznych rzeszach urzędników jeszcze nie pomyślano i w państwie o ludności przeważnie katolickiej, urzędy państwowe i biura instytucyi prywatnych przeważnie są otwarte w niedzielę i święta podczas nabożeństwa przedpołudniowego, jak w dnie powszednie. Nim wyjdzie jakieś rozporządzenie ministeryalne w tym względzie, o które zresztą nasi posłowie powinni się upomnieć, wiele mogłaby tu zrobić inicyatywa prywatna i dobra wola przełożonych różnych instytucyi i zakładów. Wspominaliśmy w swoim czasie o dyżurze zaprowadzonym w Wydziale krajowym, teraz donosimy, że w szkole politechnicznej ograniczono do minimum urzędowanie w niedzielę, przez co umożliwiono wszystkim sługom i urzędnikom szkoły wypełnianie obowiązku religijnego święcenia niedzieli i świąt. Byłoby do życzenia, aby zakłady ubezpieczeń, wszystkie banki, adwokaci, notaryusze zamknęli zupełnie a przynajmniej nie otwierali dłużej nad godzinę swych biur dla załatwienia tylko najpilniejszych interesów.

Konkursa. Rada szkolna okręgowa w Pilznie rozpisała konkurs na posadę kierownika szkoły w Łękach z terminem do 15 grudnia. — Nadprokuratorya państwa we Lwowie rozpisała konkurs na posadę zastępcy prokuratora w Suczawie. — W Czerniowcach wakuje posada sekretarza sądu krajowego.

Alarm. Jedno z pism porannych doniosło wczoraj o okropnym wybuchu cholery we Lwowie, a na potwierdzenie tej informacyi cytuje dwa wypadki śmierci, które się zdarzyły onegdaj w żydowskiej części miasta. Groźny ten alarm wywołało mianowicie to, że dwóch małych chłopczyków, jeden trzyletni, drugi dziesięciomiesięczny, dzieci handlarza owoców, najadły się jabłek i umarły na nieżyt żołądka. Są to fakta, zdarzające się co dzień, ale ponieważ doniesienia choleryczne są jeszcze ciągle w modzie, zatem nic prostszego jak to, że z nic nieznaczących wypadków owo pismo wzięło asumpt do alarmu, który niepotrzebnie nabawił ludzi strachu.

V. Posiedzenie polskiego Towarzystwa przyrodników im Kopernika odbędzie się we wtorek 13 b. m. o godzinie 6 wieczorem w sali Instytutu chemicznego.

Wieczorek z tańcami. Na dochód towarzystwa akademickiego „Byt" odbędzie się pod protektoratem pań: Adolfowej Blumenfeldowej, Bernardowej Goldmannowej, Carowej i Schaffowej w sobotę dnia 17 listopada 1894 r. w salach kasyna „Towarzyskość" przy ul. Sykstuskiej l. 25 wieczorek z tańcami. Początek o godzinie 8 wieczorem.

Sprostowanie. Otrzymaliśmy następujące pismo: Na podstawie § 19 ustawy prasowej upraszam Szanowną Redakcyę o umieszczenie w najbliższym numerze *Przeglądu* następującego sprostowania:

W *Przeglądzie* z 11 bm. nr. 259 w kronice ukazał się artykuł, donoszący o testamencie śp. Zdzisława hr. Tyszkiewicza z Kolbuszowej. Ogłoszenie powyższe nie zgadza się prawie w całości z prawdą, a nie podlega żadnej kwestyi, że jest fabrykatem czysto tendencyjnym, w celach osobistych podjętym.

Jako najstarszy cioteczny brat nieboszczyka, który właśnie z innymi bliskimi jego krewnymi podnieść musiał z bardzo ważnych powodów nieważność rzekomej ostatniej woli śp. Tyszkiewicza, oświadczam najwyraźniej — za co biorę na siebie odpowiedzialność — że ostatnim testamentem, obecnie sądownie zakwestyonowanym, z daty Wiedeń 28 czerwca podpisanym, a legalizowanym dopiero 28 lipca w Wiedniu, zapisać miał śp. Zdzisław Tyszkiewicz cały swój majątek małoletniemu synowi Janusza hr. Tyszkiewicza, nie bratanka swego, lecz dalszego jego krewnego w czwartym stopniu.

W tym testamencie, w sądzie obwodowym w Rzeszowie złożonym, poczynił nieboszczyk następujące legaty: Pani N. N. w Wiedniu (nazwisko tu zbyteczne) 50.000 zł., którą to sumę prócz wzmianki o niej w testamencie zapewnił jej osobnym aktem notaryalnym. Następnie swej byłej zarządczyni domu, dom z gruntem, a prócz tego czworgu jej dzieciom 23.000 zł.; p. Maksymilianowi Zdulskiemu, swemu dzierżawcy, 15.000 zł. Nakoniec sługom swoim każdemu całoroczną pensyę. Oprócz tego nie poczynił śp. Tyszkiewicz żadnych legatów na cele dobroczynne lub kościelne. Egzekutorem zaś testamentu zamianował Mieczysława hr. Reya z Przecławia, co jedynie z całego artykułu, zamieszczonego w *Przeglądzie* z dnia 11 bm., jest prawdą.

Rzemień p. Rzochów.

Zdzisław z Ziemblic Bogusz.

Odkrycia na Marsie. Rząd austryacki urządził na wyspie morza Adryatyckiego, Lussinpiccolo, wzorowe obserwatoryum astronomiczne, w którem pracuje Leon Brenner jako „specyalista od Marsa". Obiecywano sobie, że wskutek „opozycyi" Marsa do Ziemi tego roku uda się może coś więcej zbadać z dziwnych rzeczy marsowych. Jakoż istotnie w ubiegłym miesiącu dostrzeżono już rzeczy nadzwyczajne, o których dzisiaj Brenner donosi. Półwysep Hesperia przedstawia się o połowę mniejszym; morze Cimmericum wzrosło w dwójnasób i wyłoniła się znowu zaginiona wyspa Cimmeria, kanał Xantus ciągle zmienia rozmiary, wyspa Thyle i Eridania połączyły się w jedną, potem się znowu rozdzieliły, ale odtąd Thyle, dawniej okrągła, jest długa i wąską; na 19 kanałach dostrzeżono zmiany. Naresznie dnia 16 października przy czystości atmosfery nr. 1 i przy powiększeniu przez refraktora 313 razy, zobaczono, że są tylko cztery kanały!.. Te obserwacye wprawiły w zdumienie; wahano się czy to nie złudzenie, czy nie skutek zamglenia, więc przesłano rysunki do sławnego astronoma księdza Schiaparellego w Medyolanie. Pod dniem 28 października odpisał on bardzo szczegółowo, potwierdzając te obserwacye. Powiada on: „Nie wątpię ani na chwilę, że dostrzeżone zmiany należy przypisać wielkim przewrotom, które na Marsie zaszły. Im więcej badamy tego planetę, tem więcej rośnie liczba szczególnych na nim i niewyjaśnionych rzeczy. Ale właśnie te ciągłe zmiany pozwalają mieć nadzieję, że powiedzie nam się, acz mozolnie, zbadać przyrodę Marsa". Obserwatoryum wiedeńskie wysłało na Lussinpiccolo sławnego odkrywcę komet, dra Pallissa, który tam sprawdza te dziwy.

Nowy gmach Tow. muzycznego. Konkurs architektoniczny, rozpisany w sierpniu przez wydział gal. Towarzystwa muzycznego w celu uzyskania planów budowy własnego gmachu, został rozstrzygnięty.

Debiuty literackie.

Pan Stanisław Graybner, znany już dziś szerszym kołom autor dramatyczny, należy jako nowelista do debiutantów.

P. Graybner, który wszedł do literatury wówczas, kiedy inni zaczynają myśleć o wypoczynku, wniósł do belletrystyki rzecz bardzo cenną, bo długie i bogate doświadczenie. Zanim odczuł potrzebę malowania życia, przypatrywał mu się z różnych stron, widział je, brał je w siebie, rozszerzał bezwiednie zakres swoich obserwacyj, nie przeczuwając prawdopodobnie, iż te spostrzeżenia, chwytane po drodze, staną się dla niego kiedyś kapitałem.

Do nowicyusza czterdziestokilkoletniego przykłada się miarę inną, niż do młodego chłopca, stającego przed krytyką z niedojrzałemi płodami lat dwudziestu. Co się wybacza pierwszym próbom studenta, rwącego się do pióra (nieznajomość życia, naśladownictwo, szum wielkich a pustych słów itd.), to zadziwiłoby słusznie u pisarza, wytrawionego przez doświadczenie osobiste.

Że p. Graybner nie tracił daremnie czasu, że miał uszy i oczy uważne, dowodem tego zaraz pierwsza z jego powiastek z cyklu p. t. „Na warszawskim bruku" (nakład Gebethnera i Wolffa).

Na bruk warszawski przybyła „paczka" młodych ludzi z „towarzystwa", czyli takich, którym praca i zasługi przodków umożliwiły próżniactwo. Książęta, hrabiowie i różni inni paniczykowie p. Graybnera, z tytułami i bez nich, tracą ojcowiznę na karty, pijatyki i metresy, sądząc, iż używają w ten sposób życia z dystynkcyą dobrze urodzonych i dobrze wychowanych arystokratów. Zdaje się im, że zabawiając się ordynaryjnie, reprezentują godnie wielkie nazwiska, które ojcowie ich wysłużyli na stanowiskach publicznych w trudzie i w ofierze.

Jest to widowisko, powtarzające się ciągle. Wnukowie zapominają, że wszelka świetność tej ziemi, sława, ród, fortuna, zaszczyty — biorą swój początek z wielkiej pracy. Czy ktoś dotarł do najwyższych szczebli drabiny społecznej na drodze wojskowej lub dyplomatycznej, czy zdobył sobie powszechne uznanie jako duchowny, literat, uczony i t. d. czy w końcu zgromadził (uczciwie oczywiście) znaczny kapitał — zawsze był niezwykły wysiłek jego powodzenia twórcą. Głupcami i próżniakami nie mogą być znakomici wodzowie, dyplomaci, autorowie, uczeni, kapłani, obywatele. Na każdej zasłudze lśni, pominąwszy talent, pot robotnika. Złoty paniczyk, szczycący się protoplastą-wojownikiem, nie wie, że ten słynny żołnierz, któremu on zawdzięcza swoje splendory, sypiał na gołej ziemi, jadał chleb czarny, padał nieraz na twarz ze znużenia. To samo odnosi się do wszystkich osobistości historycznych, bez względu na rodzaj ich działalności. Każdą sławę trzeba drogo zapłacić — bardzo często życiem, a zawsze ofiarą z wygód i przyjemności.

Jest to prawda tak stara, iż stała się banalnym komunałem, a mimo to trzeba ją ciągle przypominać. Ci, co wyszli z pracy i zasługi, potomkowie znakomitych przodków, zowiący się i zwani powszechnie arystokracyą, gardzą zwykle tą pracą i zasługą. Zdziwiliby się oni bardzo, gdyby ich ktoś nazwał parwenjuszami, a jednak.. Wszakże parwenjusze to chylą się kornie przed złotym cielcem, jemu tylko świetności swoje zawdzięczając. I parwenjusze też sieją pieniędzmi, gdy na nich „galerya" patrzy.

Jak parwenjusze, uwielbiają zdawkowi arystokraci przedewszystkiem majątek, nie pytając wcale o jego źródło. Dobrą partyą zowie się w ich pojęciach każda panna posażna, chociażby to była córka lichwiarza. Zrujnowani pospolitą hulanką, sprzedają tradycye swojego nazwiska bez wstydu i bez długiego namysłu pierwszym z brzegu workom z pieniędzmi. Dorwawszy się zaś znów do monety, nie posiadają nawet tyle ambicyi, ile jej potrzeba do uszanowania siebie samego. Bo nie szanuje siebie, kto lekceważy nową rodzinę, której zawdzięcza niezależność materyalną i to, co po nad wszystko inne ceni, mianowicie próżniactwo i byt wygodny.

I jak perwenjusze, skąpią złoci paniczykowie zwykle ubogim, służbie, robotnikom, mając tysiące dla zagranicznych restauratorów, hotelarzy, kelnerów, dla półświatka, otwierając kieszeń na rozcież zawsze wtedy, kiedy nadarza się sposobność do użycia lub do „zaimponowania" komaś dostatkami.

Z pogardą spoglądają zwyrodnieni wnukowie zasłużonych dziadów na „plebejusza", który nie umie odróżnić jednego sosu od drugiego, na smacznych kąskach się nie rozumie, a je tylko wtedy, kiedy się głód tego domaga. Zapominają wytworni światowcy, że znajomość sztuki kulinarnej nietylko ich zdobi. Każdy handlarz, gdy zaokrągliwszy fortunkę, zaczyna używać życia, stara się przedewszystkiem zarobić na katar żołądka, aby wody karlsbadzkie nie zbankrutowały.

Jedną tylko zaletę biorą prawie zawsze karykatury znakomitych przodków: nie są tchórzami. Nawet charłak, który ma w sobie krew ludzi odważnych, nie lęka się śmierci, stawiając jej czoło obojętnie. Ale i tego rysu dodatniego wartość obniżają złoci młodzieńcy, szafując nim bezmyślnie.

Hrabia Ludwik p. Graybnera („Na warszawskim bruku") posprzeczał się z księciem Ksawerym o kokotę. Więc jadą oczywiście zaraz nazajutrz na plac i strzelają do siebie. Gdy drugi zranił ciężko pierwszego, „stało się honorowi zadość".

P. Graybner odtworzył kilka scen (w gabinecie restauracyi, w mieszkaniu Terki, w cukierni), którychby się żaden realista, drobiazgowych obserwacyi zwolennik, nie powstydził. Czuć, że autor patrzył własnemi oczami na takie sytuacye i zapamiętał sobie dobrze każdy szczegół.

Wszystkie postacie epizodyczne w „Na warszawskim bruku" występują plastycznie. P. Graybner zna bardzo dobrze złotą młodzież i nauczył się jej gwary pospolitej.

Nie tak szczęśliwie maluje p. Graybner ludzi z sfer innych. Traci on pewność ręki tam, gdzie fantazya artysty i intuicya psychologa powinny dopomódz obserwacyi.

Z dziewięciu obrazków, pomieszczonych w jednym tomiku (Mój romans. — Nie z fantazyi. — Bez ręki. — Nemezis. — Słaby argument. — Słowo honoru. — List sieroty. — Moralny koń. — Guwerner), wyróżnia się barwnością bajki i żywością narracyi „Mój romans", bardzo ładny, choć nie dość wyzyskany epizod z życia oficera włoskiego. Najmniej zajmuje nowella p. t. „Nie z fantazyi", przestarzały już dziś lament początkującego literata na „ciernie i głogi" zawodu pisarskiego.

Oprócz znajomości życia wniósł p. Graybner do belletrystyki jeszcze jeden przymiot bardzo cenny. Zacząwszy od teatru, w którym technika znaczy prawie tyle, co treść, zrozumiał on doniosłość dobrej kompozycyi. Nawet w najmniejszym z jego drobiazgów widać uważnego robotnika, budującego świadomie. Jego ekspozycye nie pozostawiają nic do życzenia.

Z powiastek i nowel p. Graybnera p. t. „Na warszawskim bruku" nie przemawia nic takiego, coby wróżyło znakomitego na przyszłość autora. Nie ma w nich siły i uczucia, nie ma woni poezyi i głębi psychologicznej, nie ma pomysłów szerszych i oryginalnych charakterów. Ale pisarze znakomici są wszędzie kwiatami rzadkiemi.

Z czem p. Graybner wystąpił (znajomość życia, dar kompozycyi i poprawny język), wystarcza najzupełniej dla belletrysty średniej miary, zwłaszcza, że autor drobiazgów p. tyt. „Na warszawskim bruku" stara się zawsze o to, aby czytelnika „zająć". Jego obrazki zajmują w rozumieniu pospolitem, co zaś zajmuje, to bywa poczytne.

Prawie to samo możnaby powtórzyć o p. Arturze Gruszeckim, którego „Tuzy" (powieść współczesna) należą do nowości dobiegającego do końca roku literackiego. I p. Gruszecki, nie nowicyusz w prasie, jest jako autor debiutantem. Wprawdzie napisał on kiedyś, jeżeli dobrze pamiętam, jakąś nowelę i brał czynny udział w dziennikarstwie warszawskiem, jednakże tak pierwiosnek jego duszy artystycznej, jak jego działalność publicystyczna, nie zwróciły na siebie niczyjej uwagi.

Jak p. Graybner, wnosi i p. Gruszecki do literatury bogate doświadczenie życia, czyli, co za tem idzie, pewien zasób obserwacyi, posiadających wartość dokumentów.

W „Tuzach" odtworzył p. Gruszecki grupę ziemian z okolic Kijowa, trudniących się głównie plantowaniem buraków. Wszyscy jego luminarze powiatowi, począwszy od trzeźwego, praktycznego Wireckiego, a skończywszy na marzycielu Garlińskim, pracują dla fabryki akcyjnej. Cukrownia, zostająca pod zarządem p. Maniszewskiego, jest osią, około której obraca się czynność powieści.

Przemysł, chciwy znacznych zarobków, wyzyskuje producentów w różny sposób. Nie zadawalniając się niską ceną, którą daje za buraki, stara się wytwórców oszukać, o ile tylko oni na to pozwalają. Odbierający towar urzędnik stawia na wadze zwykle wóz najgorzej upakowany i odtrąca duży procent na oczyszczenie surowego materyału. Dzieje się to z rozporządzenia administracyi, dbającej przedewszystkiem o siebie i dywidendę akcyonaryuszy.

Nieuczciwość wytwarza nieuczciwość. Wyzyskiwani producenci starają się podejść czujność urzędników cukrowni, chytrzy jak oni. Sprzykrzywszy sobie w końcu arogancyę i bezwzględność zarządu fabryki, postanawia produkcya zmusić przemysł do ustępstw na drodze zmowy.

Ta zmowa plantatorów jest punktem kulminacyjnym powieści p. Gruszeckiego. Służy mu ona do charakterystyki ziemiaństwa, ilustruje wybornie brak solidarności rolników i egoizm ludzki w ogóle.

Wezwani przez Wireckiego i Garlińskiego, zjeżdżają się bliżsi i dalsi sąsiedzi na walną naradę i zgadzają się prawie bez dyskusyi na wniosek inicyatorów zebrania. Cierpią oni wszyscy przez wyzysk cukrowni, są pokrzywdzeni, przeto nic dziwnego, że zmowa trafiła odrazu do ich przekonania.

Zgodzili się, podpisali solidarnie cyrograf, zwrócony przeciw cukrowni, i pokrzepili się obiadkiem. Naśmiawszy się z banalnych dowcipów i tłustych dwuznaczników, rozjechali się do domów.

Cóż się dzieje? Oto ci, co najgłośniej wykrzykiwali, bijąc się w piersi i powołując się na „honor szlachecki", złamali pierwsi dane słowo. Nietylko nie dotrzymali zobowiązania, lecz zdradzili nawet tajemnice zmowy zarządowi cukrowni.

Do składu jury należeli trzej członkowie Towarzystwa politechnicznego a mianowicie profesor Zacharjewicz, oraz architekci pp. Kawski i Schulz, nadto zaś członkowie wydziału gal. Tow. muzycznego: pp. Czaykowski, Jan Brajer, prof. Kadyi, dr. Majewski, Toth i dyrektor Schwarz. Po dokładnem zbadaniu nadesłanych projektów, uznało jury jednogłośnie za najlepszy, zupełnie odpowiadający warunkom programu, projekt pod godłem „wysokie C". Po otwarciu koperty okazało się, iż autorem projektu jest p. Kazimierz Piekarski, architekt we Lwowie. Stosownie do warunków konkursu, oprócz 200 koron honoraryum za nadesłany projekt, otrzymał twórca projektu prawo objęcia kierownictwa budowy.

Gmach gal. Towarzystwa muzycznego, wzniesiony zostanie przy ulicy Chorążczyzny, na miejscu kamienicy, należącej do Towarzystwa, a przeznaczonej na zdemolowanie, które już na wiosnę roku przyszłego nastąpi. Projekt gmachu, nagrodzony na konkursie, przeprowadzony jest nadzwyczaj praktycznie a przytem z prawdziwym smakiem i dbałością o estetyczną stronę budynku. Nie było to zadanie łatwe, bo plac budowlany przedstawia nieregularną figurę, na której trudno było pomieścić wszystko to, czego Towarzystwo muzyczne i konserwatoryum wymagają. Tem większa też zasługa architekty pana K. Piekarskiego, który zadanie rozwiązał z niepospolitą zręcznością i pomysłowością. Budynek przedstawiać się będzie bardzo pięknie. Wspaniała loggia stanowi główną ozdobę fasady i nadaje budynkowi charakter stanowczo odróżniający go od innych kamienic. Zajmuje ona całą wysokość dwupiętrowego domu, a mieścić będzie popiersia największych naszych kompozytorów.

Wewnątrz mieścić się będą dwie sale koncertowe. Jedna z nich będzie największą i najwspanialszą we Lwowie, bo powierzchnia jej wynosi 450 metrów kwadratowych. Obok niej pomieszczoną będzie mała sala, która w czasie balów służyć będzie za salę restauracyjną. Sala główna posiadać będzie dziesięć lóż i balkon dokoła, więc pomieści 1000 osób. Z nią łączy się bogate i obszerne foyer, mające wyjście na terasę loggii. Westybul, klatki schodowe, poczekalnie dla chórów i orkiestry, pokoje dla solistów itd. urządzone będą z prawdziwym komfortem; dość powiedzieć, że garderoby (ta najsłabsza strona naszych sal) zajmą przestrzeń 320 metrów kwadratowych. Pierwsze i drugie piętro frontowej części budynku zajęte będzie przez kancelaryę, ośm sal szkolnych i salę prób Towarzystwa. Parter przeznaczono na sklepy.

Tak więc w roku przyszłym Towarzystwo muzyczne przystąpi do budowy własnego gmachu mimo wszelkich trudności, jakie na drodze do urzeczywistnienia swego projektu spotykało. Zwalczyło je po większej części dzięki staraniom i zbiegliwości swego wydziału, oraz dzięki ofiarności i dobrej woli wszystkich tych, którym na sercu leży sztuka narodowa, pielęgnowana poważnie. W tem miejscu godzi się wspomnieć, że pierwszy zawiązek funduszu zawdzięcza Towarzystwo prof. Wysockiemu, który przed laty jeszcze urządzaniem amatorskich operetek złożył był sumę pokaźną na początek. Następnie zapis śp. Probusa Barczewskiego podniósł ten fundusz do rozmiarów tak poważnych, że można już było o rozpoczęciu budowy pomyśleć. Do najnowszych ofiar zapisać należy piękny czyn architekty p. Kazimierza Piekarskiego, który otrzymawszy nagrodę za naszkicowany projekt, plany szczegółowe podjął się wykonać bezinteresownie.

Z Przemyślan nam piszą 9 listopada: Targ miasteczka naszego zapełnił się zwierzyną po odbytych dwóch polowaniach w bezpośredniem sąsiedztwie w Krosienku w dobrach Romana hr. Potockiego i w Czupernosowie u p. Aleksandra Wybranowskiego. Wzmiankuję o nich, bo dziwnym są przykładem. W rozległych lasach hr. Potockiego w naszym powiecie, gdzie pięknie jest zawsze prowadzone polowanie, onegdaj zaledwo zabito 2 capy, 3 lisy i kilka zajęcy, a wczoraj w małej kniei Czupernosowskiej ubito w 8 strzelb i 20 osób nagonki 7 capów, 5 lisów i 10 zajęcy. Wymowny to dowód, że nie koniecznie duże lasy mają wiele zwierza, ale starannie przestrzegana knieja może dać więcej zwierzyny, a tem właśnie co roku odszczególniają się polowania w Czupernosowie.

Fizykat powiatu lwowskiego (dr. Ferdynand Obtułowicz) przeniesiony został na ulicę Trzeciego Maja nr. 21.

Zmarli. Aleksander Kociatkiewicz, oficer piechoty polskiej z r. 1831, kapitan gwardyi narodowej w r. 1848 i komisarz rządu narodowego w r. 1863, założyciel Spółki rolniczej w Tarnopolu i autor pamiętników o powstaniu listopadowem pt. „Historya 8 pułku piechoty litewskiej z czasów kampanii 1831", umarł we Lwowie, przeżywszy 82 lat — Michał Lochman, były właściciel folwarku Pletenice w pow. przemyślańskim i pełnomocnik ś. p. Teresy z Łosiów Cikowskiej, umarł w Szumlanach w pow. brzeżańskim. — Piotr br. Bruniski, właściciel dóbr Lubliniec, długoletni marszałek rady powiatowej cieszanowskiej, komisarz nadgraniczny rządu narodowego w r. 1863 na obwód żółkiewski, umarł we Lwowie.

Stan powietrza. T. o 8 rano + 6° R. w poł. + 8° R. Bar. 760. Podnosi się. Pogoda.

Z fraszek.

Dziwni są ludzie... Oto jarmark:
Lina rozpięta blisko nieba,
A po niej skoczek maszerując
Naraża życie swe dla chleba.
Gdy zlazł, zdziwienie mu wyrażam,
On z przeświadczeniem rzekł głębokiem:
— Trudniej mi, panie, biedz przez życie,
Dla tego jestem linoskokiem.

Teatr. Dziś poniedziałek na dochód Towarzystwa bratniej pomocy słuchaczów wszechnicy lwowskiej „Adryanna Lécouvreur", występ pani Heleny Modrzejewskiej. Jutro we wtorek „Gniazdo rodzinne". We środę nie ma przedstawienia z powodu przygotowań do komedyi Szekspira „Jak wam się podoba". We czwartek „Jak wam się podoba", komedya w 5 aktach W Szekspira, występ pani Heleny Modrzejewskiej. Poprzednio zakupione bilety na środę ważne są na czwartek. W piątek „Wiele hałasu o nic". W sobotę „Makbet".

We czwartek przedstawioną będzie na naszej scenie prześliczna komedya Szekspira p. t. „Jak wam się podoba". Pani Modrzejewska wystąpi w roli Rosaliny, w której w Ameryce i Anglii zyskała sobie wielki rozgłos. We środę wieczorem odbędzie się próba generalna z dekoracyami i orkiestrą. Komedya „Jak się wam podoba" jako utwór dramatyczny jest przystępną dla całej publiczności, odznacza się bowiem bardzo przyzwoitą treścią.

Literatura i Sztuka.

* **Koncert** Towarzystwa muzycznego, pierwszy w tym sezonie, odbył się wczoraj pod art. kierownictwem dyrektora Rudolfa Schwarza. Na pierwszym planie stanęła Bizeta „Roma", suita orkiestralna, wykonana po raz wtóry. Wykonanie wczorajsze było o wiele lepsze niż przed laty, czuć było ze strony orkiestry zrozumienie większe i wniknięcie w ducha tej trudnej kompozycyi. Wątpić nie można, że raz jeszcze wykonana, przedstawiłaby się nam bez wszelkich braków, jakie zwłaszcza w części pierwszej czuć się dawały.

Instrumenta smyczkowe mają tam bardzo trudne zadanie do spełnienia, które, jak dotychczas, przechodzi zdaje się, granice tego, czemu amatorowie sprostać zdołają. Chromatyczne biegniki w skrzypcach pierwszych i drugich nie miały dość wyrazistości, altówki, pomimo, że w pokaźnej liczbie, intonowały, zwłaszcza w ustępach solowych, niepewnie. Inne części szły wcale dobrze i, zwłaszcza też scherzo, rzecz tryskająca werwą i dowcipem, zajęły żywo słuchaczów. Szczery wyraz uznania należy się za to dyrektorowi.

Koncert Schumanna odegrał p. Neuhauser z towarzyszeniem orkiestry i wykonaniem zadowolnił nas tak dalece, że nie robiąc żadnych uwag, podnosząc owszem piękne i silne oddanie kadencyi, zachęcamy dzielnego pianistę do dalszych tak udatnych występów. Orkiestra w tym wypadku sekundowała dzielnie i z inteligentną dyskrecyą.

Na zakończenie odśpiewał chór mięszany Towarzystwa suitę krakowiaków Z. Noskowskiego, wśród nich niektóre prawdziwe perły poezyi i koncepcyi. Wykonanie było pod każdym względem doskonałe.

W koncercie brała udział p. M. Kulczyńska z Krakowa i odśpiewała z głębokiem przejęciem się Glucka aryę z Alcesty tudzież jakieś dwie pieśni i okazała głos silny i sceniczny. *M. S.*

* **Galeotto,** dramat w trzech aktach z prologiem José Echegarayа. Z uwzględnieniem niemieckiego przerobienia Lindaua, przełożył Jan Kleczyński. W Krakowie w księgarni Spółki wydawniczej Polskiej 1894. „Muszę te niezliczone atomy, bujające w powietrzu, zestrzelić w jedno, pokazać jak te tysiączne n i c są straszliwem c o ś, jak z tych drobnych pyłków i grudeczek śniegu, powstaje lawina, niosąca śmierć i spustoszenie, chcę pokazać, jak przez ich gadanie, kłamstwo staje się prawdą, potwarz przybiera kształty rzeczywiste, siejąc truciznę w dusze ludzkie. Pokażę, jak tacy ludzie, co się niby niewinnie dopytują o nas, są meklerami zbrodni i tytuł mam właśnie. Mógłbym nazwać to „wielkim meklerem", gdyby słowo nie było tak przykre; gdyż to właśnie „faktorstwo" jest głównem tego bezmyślnego tłumu zajęciem!" Ten obszerny cytat z monologu głównej osoby dramatu, poety, który w ten sposób w prologu kreśli plan sztuki, jaką chce napisać, ułatwia bardzo streszczenie utworu Echegarayа i jego scharakteryzowanie. To nie Ernest od siebie mówi, jego tyrada i cały prolog, to komentarz dla publiczności, dodany do dramatu przez Echegarayа. Właściwym bohaterem jest „osoba, która wszystko ożywia i sprowadza katastrofę a wcale na scenie pokazać się nie może", opinia publiczna, w języku literackim, plotki, w języku potocznym. Dotychczas plotki dostarczały przeważnie łupu humorystyce, Echegaray zapragnął zrobić z nich tło do tragicznego zdarzenia. Wziąwszy ku pomocy suggestyę, jaką opinia publiczna na ludzi wywiera i stosunki, jakie dla interesowanych wytwarza, przedstawił, jak bezsensowe plotki doprowadzają do strasznego rozwiązania i w końcu rzucają uczciwą do ostatniej chwili kobietę w ramiona równie uczciwego mężczyzny, których oboje tylko złe języki łączyły ze sobą, aż wreszcie istotnie połączyły. Andrea Girolano bogaty przemysłowiec, mający młodą, piękną i kochającą go żonę, przez wdzięczność dla zmarłego swego przyjaciela, który mu majątek ocalił, użycza gościny i poparcia synowi jego, Ernestowi, poecie, człowiekowi ubogiemu, nie zważając na to, że plotki posądzają Ernesta o miłostki z Julią, jego żoną. Ale „opinia publiczna" robi swoje, wreszcie nawet Andrea poczyna potrochę wierzyć plotkom. Następuje katastrofa. Ernest słysząc, jak ktoś w lokalu publicznym powtarza cyniczne wieści o nim i o Julii, wymierza mu policzek, naturalnie pojedynek nieunikniony i ma się odbyć w lokalu nad mieszkaniem Ernesta. Andrea dowiedziawszy się o tem, postanawia sam stanąć w obronie żony i zmusza oszczercę do walki ze sobą. Tymczasem chcąc męża od pojedynku powstrzymać, zjawia się Julia w mieszkaniu Ernesta, gdzie po chwili wnoszą śmiertelnie rannego Andreę. Ten ujrzawszy żonę u Ernesta, uwierzył naturalnie wszystkiemu i każe się przenieść mimo rany do swego mieszkania. Tymczasem Ernest w drugim pojedynku zabija oszczercę i spieszy do domu Andrey aby dowiedzieć się o jego zdrowiu. Tu jednak od niego i od Julii odwracają się wszyscy nawet Andrea umierając, znieważa go. Ernest i Julia wreszcie sami poczynają wierzyć, że się kochają a zresztą prócz siebie samych, nie mając nikogo, bo wszyscy od nich stronią, odchodzą, otwarcie ręce sobie podawszy. Co do tytułu „Galeotto" jest on niejako przypadkowym. Dramata Echegarayа obiegają sceny europejskie, a i u nas sprawiły niemało rozgłosu, głównie dzięki polemice jednego z krakowskich dziennikarzy z najwybitniejszym z naszych obecnych komedyopisarzy. Trudnoby nam było pójść za zdaniem owego publicysty i nie możemy Echegarayа, mimo, że to członek akademii madryckiej, nazywać geniuszem. Daleko mu bowiem nietylko do zawrotnych wyżyn istotnych geniuszów, ale dzieła jego nie mogą iść w porównaniu z utworami Sudermana, który przecież na genialność jeszcze nie zasłużył. U Echegarayа, a weźmy przedewszystkiem „Galeotta" jest tylko zręczne ujęcie tezy, która pływa po wierzchu jak korek po wodzie, akcya przeprowadzona jest z temperamentem, więc chwilami ta walka człowieka z owem czemś niepochwytnem, niby z greckiem fatum, robi istotne wrażenie. Charaktery natomiast są więcej niż blade. W tłumaczeniu absolutnie pochwalić tego nie możemy, iż dokonano go z n i e m i e c k i e j p r z e r ó b k i!

* **Kalendarzyk blokowy.** Nakładem firmy introligatorskiej Zenczykowskiego wyszedł kalendarzyk blokowy na rok 1895.

* **Biblioteka powszechna** nakładem i drukiem Wilhelma Zuckerkandla w Złoczowie. Tomiki od 132 do 140. Tak więc półtora setki tomów dosięga to wydawnictwo dwunasto centowe. Z powodzeniem wydawca wprowadza je w ślad niemieckiej „Universal Bibliotek" i czasem tylko mniej stosowne dziełko się zabłąka. Ostatnich dziewięć tomików zapełniają: J. L. de Gressetiego, francuska poety z 18 wieku, „Vert-Vert", Józefa Korzeniowskiego „Żydzi" komedya w 4 aktach, Władysława Kryczyńskiego „Zamek w Podhorcach", przekład Cycerona „Mowy za Sekstem Roscjuszem", wreszcie Aleksandra hr. Fredry „Pan Jowialski".

* **Nowele Estei.** P. Esteja rozpoczęła nowy tom swoich nowel pt. „Kto zwycięzcą" (nakład Lewentala) bardzo oryginalnym obrazkiem.

Dwoje ludzi, on i ona, siedzą w salonie czy w buduarze (bo niewiadomo gdzie) i rozmawiają, raczej kłócą się z sobą. Dyalog ich błyskotliwy, kapryśny, przypominający flirt, toczy się szybko, bez żadnej przerwy. Nie wypukla go ani tło, ani charakterystyka osób. Nie ma w nim ani jednego: rzekł, powiedział, podniósł się, odwrócił, spojrzał, splunął, żachnął się, namyślił itd. Nie ma nawet „informacyi", dodawanych przez autorów dramatycznych.

Zdawałoby się, że tak bezbarwny, monotonny dyalog nie może określić sytuacyi. Tymczasem wiemy bardzo dobrze, dokąd autorka zmierza.

„On" kochał się w niej, a ponieważ wyszła za innego, przeto udał się w jakąś daleką podróż, z której wrócił dopiero wówczas, kiedy się „ona" z mężem rozwiodła i była znów wolną.

Ona zapomniała, niby o nim, ale z jej robionego chłodu tryska gniew miłości.

Gniew miłości? Czy miłość może się gniewać?

Bywają miłości rozmaite, co zależy od danego charakteru. Temperament równy, łagodny kochając, wzdycha, kładzie się pokornie do stóp drogich, czeka cierpliwie na uśmiech serdeczny. Usposobienie nerwowe nudzi się bez burz, scen, bez rozterek i przeprosin. Są natury, które dręczą się właśnie wtedy najwięcej, kiedy serce ich wzbiera gorącemi falami uczucia.

Do kategoryi ostatniej należą on i ona p. Estei. Już się zdaje, że powiedzą sobie coś bardzo miłego, kiedy jedno słowo zmienia odrazu koloryt rozmowy.

— Ale przyznaj — mówi on.

— Raz powiedziałam, że nic nie przyznaję — odpowiada ona.

— Pozwólże mi dokończyć...

— Jak ty się wyrażasz...

I tak ciągle w kółko. Ona czepia się każdego jego słowa, wykręcając się na wszystkie strony zręcznością sofisty.

Po długim sporze dochodzą ostatecznie do porozumienia. Szło o to, że żadne z nich nie chciało wyrzec pierwsze: kocham cię. „Wzięta" na zazdrość, przyparta do muru, ona „zmiękła" w końcu i poddała się.

Już w pierwszem dziele swojem, w „Kartkach z życia kobiety", dowiodła p. Esteja, że umie naginać myśl do błyskotliwej „konwersacyi" salonowej. Należy ona w naszej beletrystyce współczesnej do najlepszych znawców i malarzy sfer, zowiących się światem. Posiada ona sztukę mówienia dużo, z wdziękiem o niczem, wysnuwania z kilku rzuconych mimochodem słów długiego dyalogu, który się mieni i błyszczy, kręci i wykręca, skacze naprzód i wraca, jak logika niewieścia.

Mężczyzna załatwiłby się z takim tematem, jak „Kto zwycięzcą?" na kilku kartkach. Esteja, pominąwszy zupełnie cały aparat epicki, streściwszy się dramatycznie, napisała mimo to stron trzydzieści cztery, a napisała tak zręcznie, że się owe przekomarzania czyta z przyjemnością.

Spodobała się Estei widocznie metoda nerwowego, kapryśnego szkicowania, bo zastosowała ją w ostatnim tomie jeszcze dwa razy w „Powieści w dwóch tomach" i w „Nie, nigdy".

Głównym a nawet jedynym motywem powyższych trzech drobiazgów jest miłość, przed którą się „one" Estei niby bardzo bronią, nazywając ją niewolą, jarzmem itd., a której w końcu bez wstrętu ulegają. Nawet wtedy, kiedy zaklinają się: nie, nigdy! czuć, że zapomniałyby chętnie o tem „nigdy", gdyby je jakiś „on" inaczej przekonał.

Wszystkie „one" Estei są „cięte", znające się bardzo dobrze na szermierce słowa, którem posługują się ze swobodą polemisty. Dyalog żywy, potoczysty, miejscami świetny, grzeszy tylko tu i owdzie sztuczną argumentacyą kobiety „inteligentnej". Wiadomo, że logika niewieścia różni się wielce od logiki męskiej, zwłaszcza wtedy, gdy „chce postawić na swojem".

Jak wszystko, co wychodzi z pod pióra Estei, czyta się i jej ostatnie obrazki łatwo, przyjemnie.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 10 listopada.

(Z.) Berlińska kontrmina czyni rozpaczliwe wysiłki, ażeby położyć koniec szalonej haussie, jaka rozwielmożniła się na targu naszym. Wczoraj nasyłano tu z Berlina mnóstwo t. z. tendencyjnych depesz celem zachwiania zaufania tutejszej publiczności, którą naprawdę zaczyna ogarniać prawdziwy szał spekulacyjny. Depesze te, stylizowane dosadnie, opiewały np. tak: „Sprzedawać, niebawem zajdą bardzo niemiłe niespodzianki," albo „Haussa kredytów stanowczo skończona" itp. Depesze te nie wywarły jednak wielkiego wrażenia, gdyż były anonimowe. W każdym razie jednak ogromne sprzedaże arbitrażu obniżyły cokolwiek kurs międzynarodowych walorów, zwłaszcza, że mowa Rosebery'ego o sytuacyi politycznej nie bardzo dobre wrażenie zrobiła w berlińskich sferach finansowych. Kredyty, którym wczoraj już bardzo niewiele brakowało do kursu 400, płacono bowiem za nie już po 396, zamknięto dziś kursem 390½, także inne walory bankowe nie zdołały się utrzymać przy ostatnim kursie, tylko anglosy podskoczyły prawie o 4 zł. na 181·75 na wiadomość, że bank ten objął 10.000 akcyi przedsiębiorstwa kolei elektrycznej w Peszcie. Renta wspólna spadła wczoraj na 99 80, dziś jednak podniosła się o 15 ct. Wielkie zajęcie budzą w sferach giełdowych rokowania o upaństwowienie kolei południowej, które rozpoczęły się dziś w ministerstwie handlu. Imieniem kolei biorą udział w rokowaniach prezydent rady zawiadowczej ks. Hohenlohe, wiceprezydent hr. Szecheny, tudzież dwaj członkowie rady pp. Haber i Schweigert. Opowiadano dziś prywatnie, że za podstawę do oznaczenia ceny kupna przyjęty będzie przeciętny dochód z siedmiu lat ostatnich, z wyłączeniem jednakże dwóch najgorszych lat. Żywo omawiano także na giełdzie wizytę, którą złożył wczoraj Rotszyld ministrowi wspólnych finansów, p. Kallay'owi. Przypuszczają, że prawdopodobnie idzie tu o pożyczkę bośniacką.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 390·50, węgierskie 494·—, Anglobanki 181·75, Uniony 301·75 Bankvereiny 153·—, Länderbanki 292·—, Ludwiki 217·—, Czerniowieckie 288·—, Elbethale 278·—, Renta papierowa 99·95, srebrna 99·90, austryacka złota 124·40 4% austr. renta wal. kor. 99·40, węgierska złota 123·35, 4% węgierska renta wal. kor. 97·45, dukat 5·90—, 20-frankówka 9·92—, marki 12·22—, ruble 1·35¾.

Wiedeń 10 listopada. Spirytus 15·95—16·20.

§ **Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu**

K r a k ó w 9 listopada.

Jedynym powodem bardzo zresztą nieznacznej zwyżki cen zboża był brak dowozów, trwający od kilku tygodni, to też obecnie, gdy dowozy zaczynają się zwiększać, usposobienie osłabło poniekąd, tak, że na targu dzisiejszym sprzedający nie mogli się utrzymać ze swemi żądaniami i tak pszenica, jak żyto, spadły o 5—10 ct. Jęczmień i owies przy małych bardzo obrotach utrzymały się w cenie.

Płacono pszenicę białą 7·15 do 7·40, czerwoną 7·10 do 7·30, żółtą 7·05 do 7·30, żyto 5·60 — 5·95, jęczmień browarny 6·25 do 6·90, na kaszę 5·— do 5·50; owies 5·25—5·75; rzepak 9.25 do 9·75. Wszystko za 100 kilogr.

Bank galicyjski dla handlu i przemysłu.

Telegramy „Przeglądu".

Wiedeń 12 listopada (pryw.) Jan hr. Stadnicki został wezwany do wzięcia udziału w konferencyi mężów zaufania z rządem w sprawie reformy wyborczej i przybył tu wczoraj.

Wiedeń 12 listopada. Na wczorajszem posiedzeniu Koła polskiego odczytał prezes Zaleski telegram podpisany przez p. Niemczynowskiego, Getritza i innych rękodzielników ze Lwowa, a wyrażający Kołu wotum nieufności z powodu zachowania się jego w znanej sprawie kondolencyi z powodu śmierci cara. Prezes oświadczył, że w tej sprawie tak samo jak we wszystkich innych postąpiło sobie Koło tak, jak nakazywało sumienie, rozsądna rozwaga i wzgląd na dobrze zrozumiany interes publiczny i sprawę narodową. Panowie jednak podpisani na telegramie nie zrozumieli lub nie chcieli tego zrozumieć. Jako wyborcom wolno im wyrazić swojemu posłowi uznanie lub niezadowolnienie, wolno, im jak w ogóle całemu społeczeństwu, krytykować publiczne i polityczne działanie Koła, wszelako nie są oni forum, przed którem Koło polskie miałoby obowiązek tłómaczyć się ze swych czynności, dla tego nie odpowiedział prezes na ten telegram rękodzielników lwowskich.

Po tem oświadczeniu prezesa przeprowadzono krótką poufną dyskusyę w sprawie reformy wyborczej, poczem przystąpiono do porządku dziennego.

Ks. Pastor żądał, aby dla ustaw wyznaniowych wybrano osobną komisyę i przekazano jej projekt zmiany ustawy konkurencyjnej.

Minister Madeyski oświadczył się przeciw temu wnioskowi, gdyż komisya administracyjna zupełnie wystarcza. Uchwalono więc przekazać ten projekt komisyi administracyjnej, która przybierze sobie z głosem doradczym posłów należących do stanu kapłańskiego.

P. Dawid Abrahamowicz referował ustawę o wysprzedażach. Celem gruntowniejszego zaznajomienia się z tą ustawą, przeprowadzi Koło nad nią dyskusyę szczegółową na jednem z najbliższych posiedzeń.

Na wniosek ks. Kopycińskiego uchwalono, że trzej członkowie Koła (pp. Milewski, Kopyciński i Pastor) mają zbadać stosunki panujące na wiedeńskim targu nierogacizny, które zabijają handel galicyjski.

Wreszcie p. Potoczek skarżył się na wrzekome nadużycia popełniane przy wyborach w tarnobrzeskiem i zapowiedział, że jeżeli się jeszcze powtórzą, to on wniesie interpelacyę w pełnej izbie.

Moskwa 12 listopada. Zwłoki cara Aleksandra przywieziono tu wczoraj o godzinie 10½ przed południem. Razem ze zwłokami przybyli car Mikołaj, carowa wdowa, narzeczona cara i wielcy książęta. Z dworca przeniesiono trumnę do katedry Archangielskiej, gdzie odprawiono żałobne nabożeństwo, poczem wpuszczano do cerkwi publiczność, ażeby pożegnała się ze zmarłym carem. Na ulicach miasta roiły się olbrzymie tłumy.

Tulon 12 listopada. Pomiędzy Laciotat a Sainteyer, zetknęły się dwa pociągi towarowe, przyczem dwóch ludzi ze służby kolejowej zginęło, a 15 jest pokaleczonych.

Paryż 12 listopada. Skutkiem oberwania się skały, wyskoczył z szyn pociąg kolejowy koło Tulle. Maszynista i palacz zginęli na miejscu.

Petersburg 12 listopada. Senat finlandzki wysłał wieniec na trumnę cara. To samo czyni wiele korporacyi finlandzkich

Gazecie Petersburskiej odebrano na dwa miesiące prawo sprzedaży numerów za to, że sprzedawała po ulicach dodatek, zawierający przesadne doniesienia o ostatniem zderzeniu się pociągów koło Moskwy.

Brüx 12 listopada. W szybie „Pluto" we Wiesa, będącym własnością drezdeńskiego towarzystwa kredytowego, wybuchły w sobotę w nocy gazy, skutkiem czego zginęło dwudziestu robotników. Pięć trupów wydobyto już, a kopalnię zamknięto częściowo, gdyż zachodzi obawa ponownych eksplozyi.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za siebie za nią żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 12 listopada. (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 216·— do 219·—. Kolej Lwow.-Czern. Jassko po 200 zł. w. 288.— do 291.—. Banku hipotecznego po 200 zł. w. a. 437·— do 447·—

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. gal. 5% losow. w 40 lat 101·10 do 101·80, 5% z 10% prem. 110·— do 110·70, 4½% los. w 50 lat. 100·— do 100·70 Banku krajowego 4½% los. w 51 lat. 100·— do 100·70. Banku krajowego 4% los. w 57 lat. 96·50 do 97.20. Tow. kredyt. gal. ziemsk. 4% (I. emisya) 97·80 do 98·50, 4% los. w 41½ los. 97.40 do 98·10, 4% los. w 56 latach 96·60 do 97·30. 4½% lat. w 52 lat. —·— do —.—.

Obligi za 100 zł.: Galic. funduszu propinacyjnego 4% 96.70 do 97.40. Bukow. funduszu propinacyjnego 5% 101·70 do —.— Kom. banku krajowego 5% w. a. [illegible] 102·— do 102·70, Pożyczki krajowej 6% 105·— do —·— 4½% 100·— do 100·70 4% z roku 1891 96·— do 96·70 4% z roku 1893 96 — do 96·70.

Monety. Dukat cesarski 5·86 do 5·96 Napoleondor 9·87 do 9·97. Półimperyał 10·15 do —.—. Rubel rosyjski srebrny czy papierowy 1.34—do 1.38 — 100 marek niemieckich 60·80 do 61·25

Wiedeń dnia 12 listopada, (godz. 11 w południe) Kredyty 391.35, kred. węgierskie —·—, Anglob. 183 — Uniony —.—, Bankvereiny —.—, Länderbanki 281·50, Akcye tytoniowe 233.75, Staatsbahny 388,25 Lomb. (z kup.) 108·75 Elbethale —.— Renta papierowa —.—, Renta węg. 4% kor. —.— Renta węg. złota 4% —.—, Alpiny —.—, Marki 61.20, Losy tur. —.—.

Wiarołomnych ziemian piętnuje p. Gruszecki przez usta swojego rezonera, Garlińskiego, epitetem „bydło". Z jego „Tużów" wydziela się w ogóle mimo pozorów przedmiotowości głęboka niechęć do mieszkańców wsi. Przy każdej sposobności podkreśla Garliński wyższość umysłową i etyczną ludzi miejskich.

Że solidarność nie należy do cech dodatnich naszej rasy i że dekadencya moralna chwili obecnej zatacza coraz szersze koła, o to trudno się spierać z p. Gruszeckim, są to bowiem niestety fakta, nie podlegające dyskusyi. „Białe" dworki przestają być powoli „białemi", zbrukane przez zaciętą walkę o byt, sprytne i podstępne, jak handel i przemysł.

Ale kto winien, że plantator stara się podejść fabrykanta? Niech zarządy cukrowni spełniają uczciwie swój obowiązek, niech mierzą, czyszczą, odbierają, ustanawiają procent sumiennie, niech słowem nie zmuszają producentów do chytrej obrony, a nie będzie pomysłowych parobków, podrzucających z polecenia panów buraki na wagi i t. p. szachrajstw. Zgorszenia winien zawsze ten, kto daje do niego powód.

A miasto? Jestże ono rzeczywiście pochodnią, drogowskazem dla wsi? Wieśniaka otacza zewsząd przyroda, dziewicza zimą i latem, bliższa Bogu, aniżeli bruk i rynsztoki, czystsza od murów kamienic. Nad wsią wieje cisza pól, lasów i bezmiernego nieba, ta cisza, która daje chorym nerwom spokój, zmęczonej głowie wytchnienie, zgorzkniałemu sercu pobłażliwość. Trzeba się kochać w nieznośnym łoskocie i w podłej nienawiści walki o byt, w chorobliwym ruchu i brudzie podrażnionych namiętności, aby przenosić wrzawę miasta nad ciszę wsi.

Chwila obecna nie należy do jasnych. Człowiek współczesny nie będzie świecił przykładem dla pokoleń następnych. Ale jeżeli dobroć jest więcej warta od rozumu, to należy się wsi pierwszeństwo nad miastem. Wieśniak, „bliższy Bogu", zaspakajający łatwiej swoje potrzeby, ulega mniej od mieszkańca miasta wstrząśnieniom moralno-umysłowym naszego czasu. Nie tyle może uczony przecywilizowany, nie tyle strawiony przez żądze wytworne, ile inteligentnik miejski, wieśniak bywa za to spokojniejszy, równiejszy, zwykle zdrowszy na ciele i duszy.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że p. Gruszecki wziął takich Wireckich, Bronkowskich i Maniszewskich z życia, że to postacie prawdziwe. Wystarcza jednak zestawić geszefciarzów wiejskich ze sprytowiczami miejskimi, aby się przekonać, po której stronie znajduje się przewaga „rozumu". Porównany z pierwszym lepszym aferzystą wielkiego miasta, byłby Wirecki, chociaż uchodzi na wsi za bardzo biegłego w sztuce wyzyskiwania cudzej naiwności, fuszerem, nieudolnym nowicyuszem.

P. Gruszecki widział niezawodnie Wireckich i Maniszewskich i odtworzył ich ze świadomością pisarza, który, pracując przez lat kilkanaście na polu dziennikarskiem, miał czas i sposobność nauczyć się „roboty". Jak u p. Graybnera, występują i u niego charaktery plastycznie, prawdziwe nawet w szczegółach, w scenach epizodycznych. Tylko jego kobiety posługują się zbyt grubym dyalogiem, rażącym w ustach dam z towarzystwa. Że mężczyźni, gdy są sami między sobą, nie dobierają słów i zwrotów, to rzecz powszechnie wiadoma, ale nasze panie ze sfer zamożniejszych wyrażają się prawie zawsze wytwornie.

Pan Gruszecki jest, jako technik, zwolennikiem metody, zwanej naturalistyczną a polegającej na dokładnem, drobiazgowem odtwarzaniu tła, potrzebnego i niepotrzebnego. Jego krajobrazy i wszelkie inne opisy nie wytwarzają nigdy pełnego wrażenia, nie malują, są bowiem zawsze tylko, podług recepty naturalistów, sumiennem zestawieniem poszczególnych momentów, nie łączących się w całość artystyczną. Metoda ta, niegdyś „postępowa", należy już dziś do form przestarzałych. Obniżyła ona znacznie wartość powieści w ogóle.

Teodor Jeske-Choiński.

60)

VERA

przez *Florencyę Marryatt.*

(Ciąg dalszy).

Dowiedziawszy się, że prócz religijnego wykształcenia należy wyrobić w sobie silną i niezachwianą wolę wytrwania w obranym kierunku, poczynił już pewne kroki, zmierzające do celu i rozpoczął całą seryę nauk duchownych; wstrzymał się jednak od stanowczej decyzyi, chcąc wiedzieć, jak ona zapatruje się na jego zamiary.

— Tyś mi dziś wszystkiem na świecie, Vero — rzekł do niej. — Nie mam rodziny, przyjaciół ani żadnych stosunków. Wiesz, że nie ożenię się nigdy, a radbym życie moje poświęcić dobrej sprawie i pracować dla dobra tego biednego ludu, z łona którego wyszedłem. Sądzę, że takie życie dałoby mi więcej pociech, więcej cichego zadowolnienia, niż wszelkie inne, oparte na osobistych celach. Ale przyrzekłem naszemu umierającemu ojcu, przyrzekłem tobie, że stać będę wiernie na straży twego dobra i bezpieczeństwa. Jeżeli więc mogę ci być użytecznym, zostając przy twoim boku, powiedz jedno słowo tylko, a bez wahania odstąpię od moich zamiarów.

Kończąc te słowa, wpatrzył się w nią nieśmiało, jakby się spodziewał, że choć cień zawodu przemknie po jej twarzy, że blade te usta drgną mimowoli żałością wiecznego rozstania się z nim i że może spadnie z nich jakie słowo bodaj mglistej, dalekiej nadziei.

Ale Vera pozostała niewzruszoną.

— Jeżeli Bóg powołuje cię na tę drogę zaparcia się i poświęcenia — rzekła — jeżeli tak szczytne cele stawia ci przed oczy, to obowiązkiem twoim jest iść za Jego głosem, bracie mój. Ja daleką jestem od tego, abym cię miała powstrzymywać od tej myśli. Przeciwnie, ze wszystkich sił zachęcać cię będę do wytrwania. Ja sama nie widzę jeszcze jasno drogi przed sobą, ale ja także nigdy nie wyjdę zamąż. O ile to więc w mojej mocy będzie, dopomogę ci do osiągnięcia twego celu.

Od tej pory więc zapadło postanowienie, które obwieszczono znajomym i przyjaciołom w Rève, że tak Vera Moore, jak i młody mulat do czasu tylko bawią w Belgii. Gdy zaś jedno i drugie dostatecznie wypróbuje swoje powołanie, ona jako siostra miłosierdzia, on zaś jako misyonarz, udadzą się z powrotem do rodzinnego swego kraju, aby nieść pociechy religijne wydziedziczonym swoim współziomkom.

Ale Vera, pomimo nalegań ciotki i siostr swoich w Chrystusie, odmówiła wyrzeczenia ślubów zakonnych. Nie czuła się godną ofiarować Bogu serca przepełnionego ziemską miłością i zatrutego goryczą doznanych zawodów. Chciała pozostać wolną i nieskrępowaną niczem, prócz wolą własną. Władza klasztorna, szanując jej skrupuły, dozwoliła jej nosić szary habit i biały kornet, jako oznakę dzieła miłosierdzia, które spełniała dobrowolnie, z największem zaparciem siebie, choć bez przyjęcia zobowiązań na przyszłość.

Dwa lata, które spędziła w Rève, przeszły dla niej stosunkowo dość szczęśliwie, bo regularny tryb zakonnego życia i obowiązki, które ono nakładało na nią, podziałały kojąco na rany zbolałej jej duszy. Chociaż nic już zwrócić jej nie mogło utraconego szczęścia, ani swobody dziewczęcej, to jednak stopniowe, ciche poddanie się woli Bożej spłynęło do jej duszy, poskramiając bunty natury.

Dawid jeszcze więcej od niej skorzystał z tego próbnego okresu czasu. Przygotowania do przedsięwziętego przez niego dzieła i odpowiednie po temu nauki, które odbywał pod przewodnictwem wytrawnych mistrzów, tak wypełniły jego życie i pochłonęły cały umysł i energię wrodzoną, iż Vera, widząc go, nieraz uśmiechała się smutno, zapytując sama siebie, czy to mógł być ten sam człowiek, który tak namiętnie łaknął niegdyś jej wzajemności, a odrzucony przez nią, utrzymywał, iż życie straciło dla niego cały swój urok. Dziś duszą i sercem całem należał on do swoich nowo podjętych obowiązków i nigdy nie czynił żadnej wzmianki o przeszłości. Z Verą przestawał swobodnie, po przyjacielsku i nigdy nie zdradzał czemkolwiek, żeby obecność jej krępowała go, przypominając dawny ich stosunek, tak, iż jego przywiązanie w tej odmiennej formie, jaką przybrało, stało się dla niej źródłem wielu pociech.

Gdy tylko władze duchowne uznały Dawida za dostatecznie przysposobionego do apostolskiej pracy, zaproponowano mu, ażeby się przyłączył do chińskich misyi, będących w wielkiej potrzebie pomocy. Vera bez wahania postanowiła mu towarzyszyć, jakkolwiek pierwotnem jej życzeniem było udać się do swych rodzinnych Nejlgheryjskich wzgórz i tam wśród biednej ludności miejscowej rozpocząć swoją działalność. Dawid, ze względu na trudy i niebezpieczeństwa dalekiej podróży i na klimat, który mógłby być zabójczym dla jej wątłego i wyczerpanego organizmu, próbował nakłonić ją, aby zaniechała swego zamiaru, ale Vera pozostała niewzruszoną.

Pod wieloma względami postępowanie jej było zagadką dla niego i dawało mu wiele do myślenia.

Odgadł był oddawna, że jej głęboki, niczem nieprzezwyciężony smutek i opór, jaki stawiała jego uczuciom, miały źródło w zawiedzionej miłości. Domyślił się również, iż przedmiotem tejże był Gordon Romilly, co przyczyniło się niemało do tego, że własne jego serce jakoś łatwiej odstało od niej i przebolało swoją stratę. Ale nie mógł on zgoła pojąć niektórych drobnych faktów w jej postępowaniu, zakrawających jakby na rodzaj dziwactwa. Dlaczego naprzykład Vera unikała tak pilnie towarzystwa młodych dziewcząt, rówieśnic swoich i w ogóle stroniła od kobiet, trzymając się wyłącznie sióstr swoich zakonnych? Dlaczego nigdy, nawet na dzień jeden, nie chciała opuścić Rève i wzdrygała się na samą myśl pojechania do Brüssenburga? A nadewszystko dlaczego tak stanowczo i energicznie oparła się wydatkowaniu bodaj szeląga z owych przekazanych jej przez ojca Józefa stu funtów szterlingów, na opłacenie kosztów podróży i osobistych potrzeb? Całą tę sumę złożyła do rąk proboszcza w Rève, prosząc go, aby jej użył na jałmużny dla biednych; sama zaś uparła się w charakterze prostej sługi przyłączyć się do misyi i dlatego podróż morską odbywała wśród pasażerów trzeciej klasy.

Nie!... tego już Dawid nie mógł zgoła zrozumieć. Tkwiła tam widocznie niepojęta jakaś tajemnica, którą Bóg jeden czytał w jej sercu. On nie silił się już nawet odgadnąć jej Vera czuła to, gdy siedząc samotnie na pokładzie „Sułtanki“, smutnemi a spokojnemi oczyma patrzyła za młodym misyonarzem, oddalającym się w towarzystwie księdza ku wybrzeżom Adenu. Spoglądając na tę naturę, na to otoczenie, które, jakkolwiek obce, przypominało jej bardzo kraj, w którym spędziła najszczęśliwsze chwile swego życia, popadła w głębokie zamyślenie i przeszłość żywo stanęła jej przed oczyma. Smutek i jednostajność ostatnich dwóch lat, spędzonych w usługach cierpiącej ludzkości, zatarły nieco słoneczne barwy obrazu, aż oto wyłaniając się z mgły pamięci, stawał on znów przed nią jak widmo wskrzeszonej szczęśliwości. Ale w sercu jej jak w grobie nie drgnęło już żadne echo dawnych uniesień, nie zatliła żadna iskra wygasłych zapałów. I dziwno jej samej było, że tak umarła już na wszystko, że takiemi odmiennemi oczyma patrzyła już na rzeczy tego świata i że z dawnej jej istoty nie pozostało już ani śladu.

Z chwilą gdy przekonała się, że nie ma już ani męża, ani kochanka, ani żadnej żywej istoty na całym obszarze ziemi, którąby swoją nazwać mogła; gdy oczy jej otwarły się na smutną prawdę, że miłość jej zdradzoną została, zaufanie wyszydzone, pękły ostatnie więzy łączące ją z życiem i cały świat inną postać przybrał dla niej.

Wszystko runęło w gruzy, zmiażdżone zostało w proch wszystko! Nic nie ostało się na miejscu. I rozmyślając nad tem, biedne dziewczę zapatrzone tęskie na pustynne wybrzeża Arabii, czuło, że oczy jej nabiegają łzami. Ojciec Józef leżał martwy pod cmentarną darnią, Dawid ostygł w uczuciu dla niej (a gdy liczyła zmiany zaszłe w jej życiu, o mało, że żalu nie czuła o to do niego, że zapomniał tak prędko). Rève, ciche schronienie swego bólu, ona sama porzuciła dobrowolnie, zostawiając je daleko za sobą, aby jak liść oderwany od drzewa, miotany wichrem i burzą, dać się porwać losom nieznanym. Więc kiedy nikt już na świecie nie dbał o nią, kiedy słońce życia jej zagasło, a niebo całe zaszło ołowianemi chmurami, dlaczegożby miała obawiać się śmierci albo niebezpieczeństwa, kiedy żadnego celu nie widziała już przed sobą. Oczyma ducha przenikała to królestwo Boże, te krainy błękitu i ciszy, rozpostarte tam wysoko, po nad jej znużoną głową, gdzie wszystkie błędy i pomyłki ludzkie zostaną sprostowane, wszystkie zagadnienia życia rozwiązane, gdzie duchy z duchami obcować będą swobodnie w morzu światła i miłości, i ze wszystkich sił duszy, całem natężeniem pragnienia modliła się do Boga, aby, gdy danem jej będzie nareszcie zastukać do bram wieczności, rozpoznała twarz ukochaną w tłumie wybranych. I oto była jedyna nadzieja, którą Gordon Romilly pozostawił Verze Moore.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: Ludwik Masłowski
Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej.
Z drukarni nar. W. Manieckiego. — Zarządca W. Sedak.